POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 17-go sierpnia 1940r.* **Rok II. Nr. 23**

CUD WISŁY

Dnia 15-go sierpnia 1920 zwycięski obrót bitwy nad Wisłą o Warszawę i o Polskę przeciw naporowi czerwonych wojsk rosyjskich był wszczęty i zapewniony. Odrodzona Rzeczpospolita upamiętniła to zwycięstwo, opromieniające zaranie odrodzonego bytu niepodległego, ustanawiając w rocznicę tego dnia Święto Żołnierza Polskiego. Powaga starcia ówczesnego, świadomość i napięcie wysiłku całego narodu wobec niebezpieczeństwa, oraz wielkość zdarzenia w mierze europejskiej i dziejowej, nadały zwycięstwu znaczenie, zapewniające Dniu Żołnierza 15-go sierpnia byt trwały w naszym życiu narodowym.

Zwycięstwo nad Wisłą wryło się mocno w wyobraźnię narodu, gdyż przyszło po ciężkich niepowodzeniach działań wojennych trzymiesięcznych między Polską a Rosją na wielkiej przestrzeni i z wielką zmiennością. Po pochodzie na Kijów odwrót sprowadził wroga pod bramy Warszawy. Zwrot był tak nagły i tak stanowczy że nadano mu nazwę, na wsze czasy niechybnie utrwaloną, Cudu Wisły.

Był to jeden z takich cudów w toku naszych dziejów. Podłożem ich było zawsze ocknienie się narodu nad krawędzią przepaści, stężenie woli, wysiłek czynu, a wtedy ocalenie. Takim cudem było dokonane przez tułacza Łokietka zjednoczenie i odbudowanie Królestwa Piastów, był po pobudce z Jasnej Góry powrót wypartego z kraju Jana Kazimierza i odpływ potopu wrogów, był też w wielkiej mierze, wobec najgroźniejszego już naporu Islamu na całą południowo-wschodnią Europę, Chocim i Wiedeń pod wodzą Jana Sobieskiego.

Tak i w sierpniu 1920 cały naród, popadłszy w groźne niebezpieczeństwo, zerwał się, uchylił błędy, tworząc Rząd Jedności Narodowej wraz z podparciem i przeobrażeniem Dowództwa, zmienił nastrój rozsypki w nastrój odporu i osiągnął zwycięstwo.

Dopiero zwycięska bitwa nad Wisłą była też zakończeniem na Wschodzie Europy nie tylko wojny o Polskę, ale też Wielkiej Wojny powszechnej z r. 1914.

Wojna tamta zastała naród polski w niewoli i w rozdarciu na trzy zabory. Ale Polska zrozumiała, że wybiła jej godzina. Rwała się do zbrojnego udziału w wojnie. Wyrazem tego zmysłu życia i woli czynu żołnierskiego były Legiony z wymarszem z Krakowa ich zawiązku 6-go sierpnia 1914 pod wodzą Józefa Piłsudskiego, było tworzenie korpusu polskiego w chwili przełomu w Rosji pod wodzą jen. Józefa Dowbor-Muśnickiego, było też najdonioślejsze dla losów Polski wystąpienie zbrojne polskie po stronie Sprzymierzonych na ziemi francuskiej od Bajończyków aż do stutysięcznej armii polskiej pod kierownictwem Komitetu Narodowego Polskiego i pod dowództwem jen. Józefa Hallera.

W toku tamtej wojny odżyła też stara przyjaźń Niemiec i Rosji w imię wspólnego gniecenia odradzającej się wolnej Polski. Już od końca roku 1917 pokumały się Niemcy i Sowiety, w pokoju w Brześciu walną sprawą były przetargi o ziemie polskie, a myślą przewodnią tego porozumienia było dalsze panowanie nad Polską i niedopuszczenie do jej zmartwychwstania. W rozstrzygających dniach sierpnia 1920 przyjaźń Niemiec i Rosji znalazła wyraz nie tylko w wichrzeniach w Gdańsku i na Śląsku, ale także w napiętym oczekiwaniu wyników pochodu rosyjskiego na Polskę, jako hasła dla ruszenia się drapieżnych Niemiec z drugiej strony.

Wówczas Polska wyszła zwycięsko z ciężkich przepraw, ustaliła swe granice zachodnie i wschodnie, rozpoczęła po stuletniej niewoli wskrzeszone życie niepodległe.

Lecz ani rok 1918 na zachodzie ani rok 1920 na wschodzie Europy nie zakończył, jak wówczas mniemano, wielkiego przełomu naszej doby.

Po dwudziestu latach—które kiedyś w pamięci ludzkiej uznane będą za najwyraźniej zarysowane pasmo złud, błędów i zaniedbań wobec zaborczych i burzycielskich sił Europy—zerwała się znowu burza, wstrząsająca, jak nigdy dotychczas od wędrówek ludów, posadami Europy.

I znowu cała Polska jest pod panowaniem wrogów. I znowu Niemcy i Rosja kumają się z sobą przeciw nam. I znowu żołnierz polski walczy o Polskę na obczyźnie.

Ale w górę głowy i w górę serca!

Bywało już z Polską źle, bardzo źle, najgorzej. Bywało ciemno i głucho dokoła. Bywało, rzekłbyś, beznadziejnie.

A jednak ratowaliśmy się z rozbić, z potopów, z zaborów.

Dzisiaj istnieje uznane w świecie Państwo Polskie, istnieje czynny i współdziałający sojuszniczo z ogromną potęgą światową Rząd Polski, istnieje w szeregach walczących Wojsko Polskie, istnieje, co najważniejsze, niezłomny w oporze Kraj i Naród Polski.

Żołnierz polski na ziemi brytyjskiej święcić będzie tym razem swój doroczny dzień pamiątkowy 15-go sierpnia pod wrażeniem podpisanej 5-go sierpnia r.b. umowy wojskowej polsko-brytyjskiej.

Umowa ta jest doniosła nie tylko swą treścią wojskowo-polityczną, która jest taka, bez zastrzeżeń i bez niedomówień, jak być powinna. Polska siła zbrojna jest w niej całością, obejmującą broń lądową, morską i powietrzną, walczącą o Polskę i zaprzysiężoną na służbę Rzpltej, podległą Naczelnemu Wodzowi sił zbrojnych polskich, a w działaniach wojennych dowództwu brytyjskiemu jako wspólnemu Dowództwu Naczelnemu Sprzymierzonych. Jest to w pełni znaczenia tego słowa siła zbrojna Państwa Polskiego.

Co ważniejsze bodaj, umowa ta jest wyrazem takich stosunków wzajemnych między Polską a Wielką Brytanią, jakich jeszcze nigdy nie było w ciągu długich stuleci.

To prawda, że Wielka Brytania, jedyna w dobie rozbiorów Polski, rozumiała nie tylko znaczenie Polski w budowie Europy, ale także konieczność jej dostępu do Bałtyku i dlatego opór Rządu J.Kr.Mości sprawił, że w pierwszym podziale z r. 1772 nie zdołał Fryderyk II zagarnąć Gdańska i Torunia, aby droga z Polski do Bałtyku była zapewniona. I to prawda, że w czasie Wielkiej Wojny 1914-18 dojrzewało w Wielkiej Brytanii zrozumienie konieczności odbudowania Państwa Polskiego, a nawet niektórym umysłom nie było już wtedy obce uznanie, że tylko wielkie i silne Państwo Polskie może spełnić swe zadanie między Niemcami a Rosją. To też prawda, że w przeddzień obecnej wojny, wiosną roku 1939, zawarła Wielka Brytania po raz pierwszy w swych dziejach taki sojusz z państwem środkowo-wschodnio-europejskim, jak z Polską.

Ale teraz to jeszcze coś innego i dotychczas niebywałego.

Dzisiaj żołnierz polski na ziemi brytyjskiej, walcząc tu o Polskę, bierze też udział w obronie Wielkiej Brytanii. W ten sposób sojusz polsko-brytyjski, któremu umowa wojskowa daje wyraz w urzeczywistnieniu współdziałania, staje przed oczyma narodu brytyjskiego żywo, jasno, wyraźnie. Wytwarza się w Wielkiej Brytanii i w Imperium Brytyjskim świadomość, dlaczego żołnierz polski przybył do Wielkiej Brytanii, by walczyć o wspólną sprawę, oraz zrozumienie, czym jest i czym być musi jutro Polska.

Tkwią w tej wspólnocie wielkie i krzepkie zadatki na przyszłość. Idziemy ku niej dobrą drogą. U końca jej nowym Cudem Wisły, toczącej dzisiaj swe wody poprzez kraj w niewoli i w niedoli, będzie odrodzenie potężnej Polski.

Stanisław Stroński

Rozkaz dzienny Naczelnego Wodza do Wojska Lądowego, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej

I

Przed dwudziestu laty Armia polska pod naczelnym dowództwem Józefa Piłsudskiego powstrzymała w porywie heroicznym nawałę wroga. Czerpiąc swe siły w oparciu o współdziałający z nią harmonijnie i czynnie cały Naród, prowadzony w tym krytycznym dla państwa naszego momencie przez Wincentego Witosa, zadała wojskom bolszewickim klęskę, która zapoczątkowała korzystny dla nas zwrot w wojnie 1920 r.

Uratowała przez to Polskę i świat chrześcijański od pewnej w warunkach ówczesnych zagłady. To też dzień, w którym miała miejsce pierwsza z rozstrzygających o losie wojny batalii, uznano jako dzień Żołnierza Polskiego.

Niechaj wspomnienie tych sławnych i godnych oręża polskiego wydarzeń wznieci w sercach Waszych entuzjazm, wzmocni oddanie się Wasze Ojczyźnie, rozpali płomień wiary w zwycięstwo niechybne naszej świętej sprawy, która jest znowu sprawą ludzkości.

II

O. R. P. "Orzeł" wyszedł w dniu 23 maja 1940 r. na normalny swój patrol na morze i więcej do bazy nie powrócił. Zginął na posterunku.

Wraz z "Orłem" zginęła jego bohaterska załoga, w skład której wchodziło 60 oficerów, podoficerów i starszych marynarzy oraz wzorowy dowódca, ś. p. kpt. mar. Jan Grudziński.

Od wybuchu wojny O. R. P. "Orzeł" walczyłna morzu do dnia 13 września, gdy zmuszony był zawinąć do portu w Tallinie.

Łamiąc prawo międzynarodowe, jak również przyrzeczenie dane komendantowi statku—władze estońskie zaczęły rozbrajać go przy użyciu przemocy, by następnie internować zarówno okręt, jak i jego załogę. Wówczas kpt. mar. Jan Grudziński, korzystając z nocy, zmylił straże, a stosując śmiały oraz ryzykowny manewr, wymknął się z Tallina i podjął w warunkach najtrudniejszych dalszą walkę na Bałtyku.

Od wybuchu wojny O. R. P. "Orzeł" walczył na morzu do 6 października, mając tylko kilka torped, działa bez zamków, pozbawiony map. Wszystko zabrali mu Estończycy.

Gdy zapasy materiałów pędnych i słodkiej wody wyczerpywały się, wówczas dowódca okrętu postąpił zgodnie z instrukcją. W warunkach niezmiernie ciężkich opuścił Bałtyk, przepływając w pobliżu nieprzyjaciela przez trudne pod względem nawigacyjnym cieśniny duńskie—żeby w Kattegacie, Skageraku i na Morzu Północnym czatować na Niemców. Dopiero pod naciskiem konieczności, Dowódca zdecydował udać się do Anglii, gdzie przybył 13 października.

Odtąd wspólnie z O.R.P. "Wilk" oraz z O. R. P. "Grom" "Błyskawica" i "Burza" walczył chlubnie wraz z sojuszniczą flotą Wielkobrytyjską.

Dnia 9 kwietnia r. b., w chwili podejmowania ofensywy niemieckiej na Danię i Norwegię, zatopił statek "Rio de Janeiro",—transportowiecc niemiecki wraz z wojskiem.

O. R. P. "Orzeł", dowodzony przez kpt. mar. Jana Grudzińskiego, swą działalnością wojenną wsławił imię Polski i Polskiej Marynarki Wojennej po wsze czasy, stworzył on nieśmiertelną legendę o polskim bohaterstwie morskim.

Stawiam go za wzór żołnierzom w dniu, w którym święcimy triumf oręża polskiego nad bolszewicką Rosją.

NACZELNY WÓDZ (-) Sikorski Generał Dywizji

Londyn, dnia 12 sierpnia 1940 r.

Rocznica sierpniowa

Pośród licznych rocznic i świąt, obchodzonych w Polsce, stosunkowo najskromniej obchodzona była rocznica sierpniowa, rocznica bitwy warszawskiej z roku 1920-go. Składało się na to wiele przyczyn. 15-ty sierpień przypadał na okres koncentracji; wojsko było w polu, poza obrębem położonych w miastach koszar. Inne rocznice wojskowe — formacyjne — miały bądź możnych politycznych protektorów, bądź przynajmniej zgrupowania, które o nie specjalnie dbały. O tę rocznicę dbano mniej. A przecież dbać o nią było warto. Rzeczowo była innym co najmniej równa, a symboliką swoją niewątpliwie je przewyższała.

Dobitnie stwierdził to rozkaz ówczesnego ministra spraw wojskowych, generała Stanisława Szeptyckiego, gdy święto owo, bodaj w r. 1923, ustanawiał. Rocznica otrzymała zaszczytne miano "święta żołnierza polskiego." Przypominać na wieczne czasy miała, że w połowie pamiętnego sierpnia roku 1920 naród cały, bez wyjątku, stanął pod bronią, by bronić ojczyzny i stolicy przed obcą przemocą. Znikły spory orientacyjne i polityczne waśnie, które tak zaciążyły na pierwszym, sejmowładczym okresie Polski wskrzeszonej. Instynktownie uznano i wyciągnięto z tego konsekwencje, że nie pora na doktrynerskie nieporozumienia, gdy nieprzyjaciel depce żywe ciało ojczyzny. Polska zdała wówczas wybornie, wobec świata i siebie samej, egzamin dojrzałości narodowej i ofiarności obywatelskiej. To też zasłużyła na uznanie, jako organizm o zbiorowej woli i jednolicie bijącym sercu. Stara to prawda, że w Polsce rządzić można i trzeba uczuciem, bo tylko ono wywołuje pożądany odzew. Natomiast wszelkie próby rządzenia nią batem spotykają odpór i kończą się fiaskiem.

W narodzie pierwsze miejsce pod względem zasługi przypadło wojsku, to jest—mówiąc słowami konstytucji 3-go maja roku 1791-go—"porządnie z narodu wyciągnionej sile zbrojnej." Wojna z Rosją sowiecką był to kolejny i przedostatni akt walki naszej o granice—ostatnim były powstania śląskie—podjęty samodzielnie i rozegrany do końca. Wojna z Rosją zjednoczyła różnolite jeszcze formacje, prawdziwie "w jeden akord skonfederowała" je z narodem, była podstawą moralną popularności armii w Polsce. Wysunęła na plan pierwszy znaczenie "Nieznanego Żołnierza," bezimiennego bojownika wolności. Nieznany Żołnierz zyskał sobie prawo do wieczystej wdzięczności narodu, do hołdów, do niegasnącego na swym grobie znicza. Zyskał również prawo do czci, jaką składali mu jego dowódcy, zarówno Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, Józef Piłsudski, któremu zwycięstwo dało w rękę buławę marszałkowską, jak i generał Sikorski, dowódca 5-ej armii, generał Józef Haller, prowadzący zastępy ochotnicze, generał Sosnkowski, minister wojny, generał Rozwadowski, szef sztabu naczelnego dowództwa, oraz inni generałowie, których szlakiem poszło odtąd powodzenie wojenne. Ci znani i uznani żołnierze pochylili czoła przed trumną, gdzie spoczęły kości skromnego, o nieustalonym nazwisku towarzysza broni. Rocznica 15-go sierpnia stała się ich wspólną rocznicą, dzieloną z całym narodem, prawdziwym świętem jedności w obliczu wroga.

Dlatego to generał Szeptycki wyraźnie podkreślił, że nie są to żadne zaduszki żołnierskie, dzień smutnych wspominków i żałoby. 15-ty sierpnia miał uosabiać nieprzerwaną łączność żywych z poległymi na polu chwały to, co Kościół tak trafnie nazywa "świętych obcowaniem." Od poległych za ojczyznę snuje się bowiem chlubna nić tradycji, a nić ta powoduje spoistość dawnych szeregów żołnierskich z obecnymi.

Znaczenie rocznicy oceniła trafnie Stolica Apostolska; Ojciec Święty Pius XI był, jako nuncjusz, w roku 1920 między nami. Na dzień 15-ty sierpnia przeniesiono święto Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Korony Polskiej. Skoro dzień ten głos ogółu przezwał samorzutnie "cudem Wisły," słusznym się zdało, aby patronat nad nim miała Ta,

. . . co Jasnej broni Częstochowy
I w Ostrej świeci Bramie, Ta,
co gród zamkowy
Nowogródzki ochrania z jego
wiernym ludem. . .

Jeżeli więc nawet, wskutek wymienionych na wstępie przyczyn, "święto żołnierza polskiego" skromnie obchodzone było w miastach, w skupiskach wojska powodowało rok rocznie obchody uroczyste—ceremonię religijną wraz z paradą wojskową.

Ale i w miastach 15-ty sierpnia nie przechodził niepostrzeżenie. Dzienniki poświęcały mu zazwyczaj wstępne artykuły, w których nawiązywano do przeszłości; w czasopismach ilustrowanych podawano często ciekawe materiały fotograficzne z roku wojny polsko-bolszewickiej. W Warszawie organizowano zbiorowy hołd, składany na cmentarzu poległych w Radzyminie. Słowem, miano wyraźne poczucie znaczenia bitwy warszawskiej i związanego z nią święta żołnierza. Znaczenie tej bitwy odczuwaliśmy wszyscy w Polsce przez długi okres, blisko dwudziestoletni; odczuwali je również obcy, stawiający tę bitwę w rzędzie takich, które wpływ wywarły na oblicze świata.

I kto wie, czy żywa pamięć o skutecznym wysiłku narodowym w roku 1920-tym nie przesądziła o postawie moralnej narodu oraz wojska we wrześniu roku ubiegłego. Nie zwyciężono tym razem, ale uchroniono honor oręża. Uchroniono siły moralne, które są podstawą ducha polskiego, a więc rękojmią niezłomności i przyszłego zwycięstwa.

* * *

Pod mglistym niebem Szkocji, pośród fabryk Anglii, w licznych portach brytyjskich stoimy dziś, jedyni na świecie Polacy, którzy w tej chwili jawnie przeciw wrogowi broń podnoszą. Sercem łączą się z nami koledzy w Azji Mniejszej, koledzy, przebywający w Szwajcarii, na półwyspie Pirenejskim, na Bałkanach, koledzy w obozach jeńców internowanych. Łączy się z nami daleki kraj, gdzie cierpią, ale wierzą. Wierzą w nas, wierzą w uczciwy trud bojowy żołnierza polskiego.

Jest pośród nas, od Wodza Naczelnego do prostych szeregowców, wielu uczestników wojny w roku 1920. W jednym z nami szeregu stoi młodsze pokolenie, które dowiodło w Norwegii i Francji, że ma w sobie zapał i hart żołnierski, że godnie reprezentuje ciągłość polskich walk o wolność ojczyzny. Powinniśmy zatym obchodzić żołnierską rocznicę 15-go sierpnia, jak to w Polsce bywało—w naszych skupiskach wojskowych, pod namiotami czy na okrętach.

Położenie nasze zmieniło się. Jesteśmy na obcej, choć przyjaznej ziemi; wróg zagasił znicze przed grobem Nieznanego Żołnierza pod kolumnami Saskiego Pałacu w Warszawie, a obca warta chodzi przed gmachem, gdzie panuje przemoc. W sercach naszych tylko, a poza tym—skromnym żołnierskim obchodem czcić możemy to, co jest nam tak bliskie i drogie.

Obowiązkiem naszym jest wzlecieć wspomnieniem ku tym najlepszym, poległym towarzyszom broni z roku 1920-go. Dołączyć do nich tych, którzy ostatnio legli wśród fiordów Norwegii, lub na polach Francji. Spytać ich, łącząc się z nimi w żołnierskim sumieniu, czy obowiązek nasz spełniliśmy tak, jak polskiemu żołnierzowi przystoi? Czy walczyliśmy mężnie, gdy nam walczyć przypadło w udziele, czy znieśliśmy, jak należy, niebezpieczeństwa i trudy, aby dalej walczyć? Czy utrzymujemy wśród siebie ducha pogotowia, nieustępliwość, wierność ojczystej sprawie? Czy nie zagnieździło się w nas sobkostwo, nieróbstwo, zniechęcenie? Czy nie grzeszymy niekarnością, brakiem posłuszeństwa, zniewieściałością? Czy mimowolnie nie poddajemy się zakusom wroga, który chce nas osłabić, obrócić w bandę, pohańbić? Wszyscy, wszyscy bez wyjątku, na każdym stanowisku i w każdym stopniu wojskowym, musimy sobie zadać te pytania i uczciwie na nie odpowiedzieć.

Gdy odpowiedź wypadnie: tak—walczyliśmy; tak—walczyć jesteśmy gotowi; tak—w myśl przysięgi i obowiązku jesteśmy dalej prawymi żołnierzami polskimi: wówczas dopiero godni będziemy sprezentować broń przed naszymi poprzednikami na polu chwały i sercem obcować z nimi.

Antoni Bogusławski

Naczelny Wódz a rok 1920

Karta generała Władysława Sikorskiego nie jest ani kartą nową, ani poczętą dopiero na emigracji. Nie są to bowiem tylko dzieje ogromnego wysiłku osobistego, współpracy kraju i emigracji polskiej pod jego kierownictwem, któreby generała Sikorskiego wprowadzać dopiero miały do historii naszego narodu, armii i państwa. Również nie dopiero karta wielkiego i świetnego jego wysiłku, który doprowadził do stworzenia armii polskiej na ziemi francuskiej, armii, rozsławiającej imię Polski szeroko po świecie, wywołującej podziw i szacunek najwyższy dla wykazanych w tych niezwykłych warunkach wartości narodu polskiego i dla nieugiętego nigdy, nigdzie i niczym hartu i poświęcenia żołnierza tego narodu—dała prawo do przewodzenia i kierownictwa. Nowe karty dziejowe wspaniałe tragizmem swym i tryumfem zarazem to tylko dalszy ciąg twardej i ofiarnej jego służby narodowej, a nie wspaniałe i początkujące dopiero wejście do kart narodu i jego księgi.

Niewątpliwie restytucja myśli państwowej polskiej i praw do niepodległości stwierdzająca, że "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy" właśnie wtedy, kiedy po tragicznej katastrofie wrześniowej 1939 roku zdawało się, że naród polski i jego żołnierz zostali skreśleni z gigantycznych zmagań o wolność narodów—jest tytułem sławy i uznania, lecz nie mniej jednak i ten fakt znaczenia dziejowego sam w sobie już wystarczający—nie jest początkiem działalności Naczelnego Wodza i Szefa Rządu Polskiego. To znowu tylko dalszy ciąg jego historycznej misji, którą mu Bóg i naród powierzył i zawierzył. I dlatego też w chwilach tragizmu i męki, spodowanej katastrofą nieszczęśliwej a tak zawsze nam bliskiej Francji, katastrofą tak nagłą i niespodziewaną, że zdawało się, iż z konieczności porwie i zniweczy cały wysiłek Naczelnego Wodza i całą nadzieję narodu i jego przyszłości—wziął na swoje barki *realne* ratowanie tego dorobku dziejowego. Na ziemi przyjaznej nam, szlachetnej i dumnej Wielkiej Brytanii przystąpił do odbudowania nowej armii, wcale jak na nasze warunki i przejścia—pokaźnej. Lecz i to jeszcze nie jest powodem, że właśnie na jego barki złożony został cały ciężar odpowiedzialności wobec historii i narodu, że stał się i jest jedynym symbolem Polski walczącej z największym wrogiem Polski—Niemcami.

To wszystko stanowi karty niewątpliwej doniosłości i wielkości dziejowej, uprawniającej gen. Władysława Sikorskiego do przewodzenia, lecz jest to tylko wspaniały ciąg dalszy, część tylko otwartej jeszcze księgi historycznej, którą zapełnia jego działalność. Do roli kierowniczej, jako nieugiętego sługi a nie dyktatora, w sensie sanacyjnym czy nazistowskim przeznaczyła go cała jego chlubna przeszłość w walce o Polskę wielką, sprawiedliwą i rządną. Świetności swojej przeszłości nie zawdzięczał nikomu ani też nie zdobywał gwałtem czy krwią w walkach bratobójczych. Mandat moralny i faktyczny przewodzenia i kierowania zdobył już dawno, w walkach o tę Polskę i jej przyszłość. Swoją nadludzką pracą i poświęceniem mandat ten na emigracji utwierdził, mandat wodza w najstraszniejszych chwilach swojego narodu.

A zatem, karty i sławę, wypracowaną na emigracji, (przed którą muszą się ugiąć przeróżni wojskowi i cywilni a zawsze sanacyjnego autoramentu "dziadkowie leśni," ludzie źli i mali, tragiczni, chorzy wielkością swojej małej przeszłości) poprzedzały karty niewątpliwie wielkich, historycznych zasług. One go uczyniły tym, czym jest dzisiaj—wodzem narodu, wbrew wszystkim próbom zawistnych czynników.

Generał Władysław Sikorski zapisał się nie tylko jako wybitny mąż stanu, ale jako świetny żołnierz i wódz. Tak doniosłe spełniał zadania, że w karcie jego zamyka się także historia jego narodu. Nie brakło więc oczywiście również roku 1920.

Po chlubnie organizacyjnie i bojowo przeprowadzonej obronie Lwowa i Małopolski Wschodniej, wyznaczony na dowódcę grupy poleskiej i tu na rzekomo spokojnym operacyjnie odcinku odegrał rozstrzygającą rolę. Po nieszczęsnej wyprawie kijowskiej, kiedy nad Polską zawisła katastrofa, grupa poleska, dowodzona przez generała Wł. Sikorskiego zaważyła na dalszym rozwoju wypadków. Wielka 13-dniowa bitwa nad Bugiem, pod dowództwem generała Józefa Hallera, przechodziła ciężkie i groźne chwile. Trzeszczał i rozłupywał się nadal front polski pod uderzeniem wojsk bolszewickich. Bitwa ta nie mogła niestety w tych jeszcze warunkach stać się bitwą rozstrzygającą, jak to planował z początku nowy generalny szef sztabu głównego generał Tadeusz Rozwadowski: musiała się jednak stać za wszelką cenę bitwą, którąby zużywszy poważnie siły przeciwnika, zmusiła go do zatrzymania się i pozwoliła siłom polskim na odwrót bez nacisku nieprzyjacielskiego oraz na nowe przegrupowanie się do bitwy nad Wisłą.

Do spełnienia tego zadania przyczynił się właśnie przede wszystkim generał Władysław Sikorski. W całej pełni jego cechy jako wodza zabłysnęły w drugiej wielkiej bitwie o losy Polski nad Wisłą, w t. zw. bitwie warszawskiej na czele piątej armii. Dźwigając na sobie trzykrotną przewagę przeciwnika w zwycięskich walkach podjętych w dniu 14 sierpnia nad Wisłą i Wkrą dokonał przełomu wojny. Na jego odcinku odniósł żołnierz polski w dniu 14 sierpnia pierwsze od czasu odwrotu zwycięstwo. Ten dzień też stał się odtąd świętem żołnierza polskiego. Nikomu innemu tylko Sikorskiemu powierzono też zadanie akcji przeciwko armii konnej Budiennego na czele trzeciej armii.

Generał Władysław Sikorski jeden z głównych twórców zwycięstwa w sierpniu 1920 roku, stale i konsekwentnie usuwany, szczególnie od roku 1926, od wpływów na dalszy los Polski, nieprzyjęty mimo kilkakrotnego zgłoszenia na jakiekolwiek stanowisko, nawet w tak tragicznych chwilach jak wojna z Niemcami, żołnierz, wódz i mąż stanu dopiero po wrześniowej tragedii, dopiero na emigracji powołany został do wykucia nowej, szczęśliwej i wielkiej Polski. Polskę tę wykuje w oparciu o oddaną sprawie armię organizowaną teraz w Anglii.

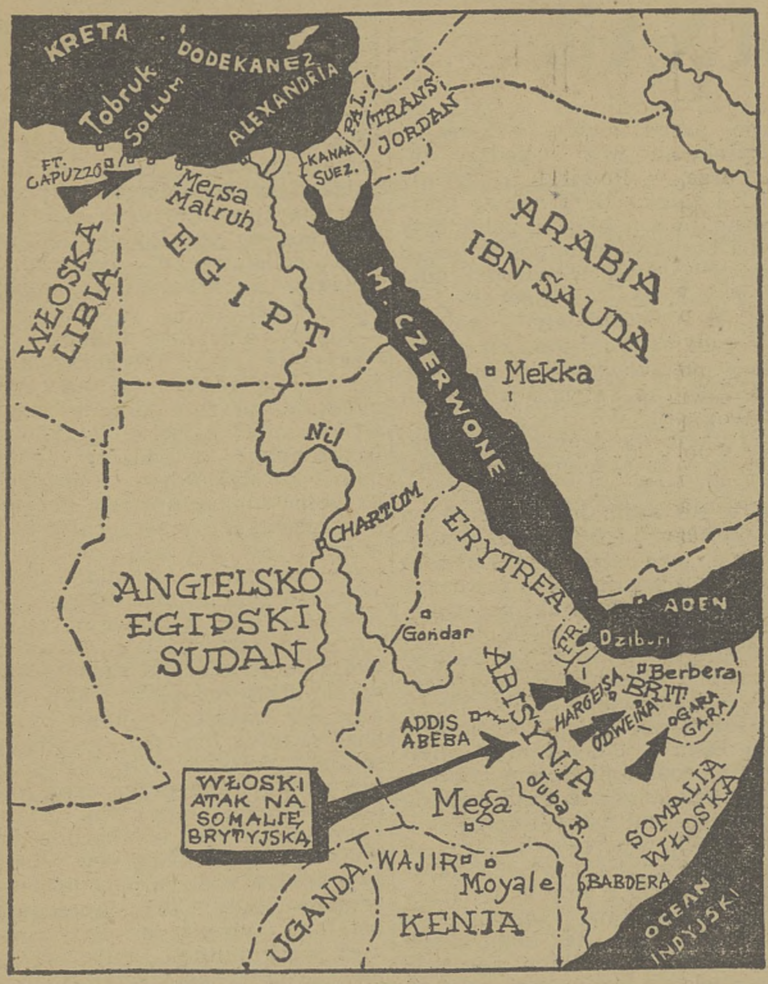
Z wiarą w jutro, z wolą zwycięstwa przyniesiemy naszemu narodowi wolność i wielkość pod dowództwem opatrznościowego sługi narodu—generała Władysława Sikorskiego. Powtórzy się cud nad Wisłą, dzień 15 sierpnia, dzień żołnierza polskiego.

Izydor Modelski

Redakcja "Polski Walczącej" prosi o nadsyłanie materiałów literackich, rysunkowych i fotograficznych.

To nasze żołnierskie pismo musi powstawać naszym wspólnym, żołnierskim wysiłkiem, winno jak najpełniej odzwierciedlać nasze życie.

Istota wojny afrykańskiej



Rozwijająca się obecnie na terenie Afryki akcja wojenna, tak odmienna co do swoich warunków terenowych od bliżej nam znanych i bardziej zrozumiałych akcji wojennych na terenach europejskich, wymaga szczegółowego rozpatrzenia, aby ją w sposób właściwy ocenić.

Przy rozmaitych okazjach, od chwili gdy Włochy przystąpiły do wojny, komunikaty włoskie obwieszczały światu wspaniałe sukcesy na libijskiej granicy Egiptu, w Sudanie i w północnej Kenii. Wzięcie przez Włochów takich miejscowości, jak Kassala, Galabat, Ghezan, Bambode, Kurmuk, Moyale, Sukeila—Darkali i.t.d. wychwalane było jako wielkie zwycięstwa i dla przeciętnego człowieka nie orientującego się w wartości tych "zwycięstw," lista ich przedstawia się nader imponująco.

Władze brytyjskie mają wszelkie podstawy do twierdzenia, że wszystkie te punkty pozbawione są znaczenia strategicznego i że obsadzone one były przez drobne garnizony, które zaatakowane zostały przez przeważające siły nieprzyjacielskie. Ale fakt pozostaje faktem, że szereg punktów znajdujących się na terytorium posiadłości brytyjskich, zostało przez nieprzyjaciela zdobytych i oczywistą jest rzeczą, że każdy zapyta, jakie są powody, iż punkty te nie były bronione.

Rozpatrując te powody należy przede wszystkim uwzględnić fakt, że wszystkie terytoria brytyjskie w Afryce, które obecnie są terenem akcji wojennej, a więc Egipt, Sudan, Kenia i Brytyjska Somali bezpośrednio stykają się z granicami kolonii włoskich w północno-wschodniej Afryce. Te wspólne granice wynoszą 5600 kilometrów. Jest rzeczą aż nadto oczywistą, że nie sposób ustanowić ciągłej linii obronnej długości 5600 kilometrów. Wymagało by to olbrzymich sił zbrojnych, pociągnęło by za sobą niesłychane trudności utrzymania tych sił i zaopatrywania ich. W najlepszym wypadku mogłaby to być jedynie bardzo cienka linia wojsk, nie będących w stanie wytrzymać nacisku w którymkolwiek punkcie, gdzie nieprzyjaciel skoncentrowałby większe siły. Wróg mógłby z łatwością przerwać cienką linię obrony i wejść w głąb kraju dosyć daleko, zanim zdołano by wycofać wojska z długiej linii granicznej dla podjęcia kontrataku.

O ile chodzi o warunki afrykańskie, to należy również liczyć się z tym faktem, że granice polityczne nie stanowią z konieczności właściwych linii frontów obrony. W północnej Kenii n.p. granica polityczna przecina żyzne i stosunkowo dobrze nawodnione wzgórza, na których utrzymać się mogą znaczne siły wojskowe. Ale zaraz za tymi wzgórzami ciągnie się pustynia zupełnie pozbawiona wody, w której żadne większe zbiorowisko ludzi nie może się utrzymać i poprzez którą komunikacja jest bardzo utrudniona. W wschodnim Sudanie naturalna granica strategiczna ciągnie się wzdłuż rzeki Adbara i bardziej na zachód od niej, zaś na wschód od Adbary roztacza się pusta dolina, w okresie deszczów zamieniająca się w morze błota, przez które nikt przeniknąć nie może. Błoto to ciągnie się aż do rzeki Gash przy samej granicy Abisynii, gdzie właśnie znajduje się brytyjski punkt graniczny Kassala, jedno z "zwycięstw" włoskich.

Na froncie libijskim granica polityczna rozpoczyna się od zatoki Sollum. Granicy tej jednak utrzymać nie sposób, albowiem brak wody w okolicy Sollum uniemożliwia stacjonowanie tam jakichkolwiek sił zbrojnych. Strategiczna granica Egiptu znajduje się przeto daleko na wschód od Sollum, w okolicy wzgórz pustyni libijskiej, gdyż dopiero tam dosyć jest wody dla potrzeb większego garnizonu, zaś linia kolejowa z Aleksandrii ułatwia sprawę zaopatrzenia.

Poza tego rodzaju względami terenowymi pamiętać należy o tym, że Włochy, zanim przystąpiły do wojny, poczyniły stosowne przygotowania, licząc się z tym, że działania wojenne w Libii toczyć się będą na dwuch frontach, od strony Egiptu przeciw wojskom brytyjskim i od strony Tunisu przeciw wojskom francuskim. W obawie przed wojną na dwuch frontach Włosi skoncentrowali w Libii wielką armię włoską, liczącą 25.000 białych, nie licząc wojsk z pośród tubylców. Prawie cała ta armia użyta być może obecnie dla ataku na Egipt. W Abisynii Włosi od czasu podboju tego kraju utrzymywali pokaźną ilość wojsk, aby opanować rebelię abisyńską. Brytyjskie garnizony natomiast w koloniach wschodnio—afrykańskich i w Sudanie były w okresie przedwojennym bardzo nieliczne. Z tych nielicznych sił obrona brytyjska uczynić musi obecnie możliwie najlepszy użytek.

W krajach tych, niedorozwiniętych pod każdym względem, bardzo mało jest obiektów wojskowych posiadających prawdziwą wartość. Są one jedne od drugich bardzo oddalone. Dlatego też w zasadzie ustalenie tych obiektów, które nieprzyjaciel prawdopodobnie wybierze jako cele swoich prawdziwych ataków, nie przedstawia trudności. Obrona więc skoncentrować się musi dookoła tych niewielu obiektów.

W tych warunkach wycofanie się z obszarów nieprzedstawiających żadnych korzyści dla działań strategicznych, jest nakazem wynikającym z całokształtu sytuacji. Przeciwnie, w wielu wypadkach wycofanie się wyobraża faktyczny zysk, albowiem wobec trudności terenowych, przy braku wody i wszelkiej komunikacji, wciągnięcie nieprzyjaciela w głąb własnego terytorium jest korzystne, gdyż naraża wroga na te wszystkie trudności, które przedtym zagrażały własnym wojskom. Nieprzyjaciel posuwając się w głąb kraju, przedstawiającego po większej części niezamieszkałą pustynię, nie stwarza dla siebie żadnych istotnych korzyści i nie wzmacnia swoich sił militarnych; odwrotnie, wystawia się on na te wszystkie braki i trudności, które skłoniły obronę do wycofania się.

Komunikaty włoskie chełpiąc się zwycięstwami, przedstawiają te "zwycięstwa" jako posiadające znaczną wartość. N.p. Włosi twierdzą, że Ghezan na granicy Sudanu zdobyty przez wojska włoskie jest ważną bazą, dookoła której znajdują się wzgórza przez Anglików ufortyfikowane, które jakoby bronione były zaciekle przez silny garnizon. Zaś Bambode zajęte również przez Włochów posiadać miała garnizon w sile całej dywizji, której obecność stanowiła, jak twierdziły komunikaty włoskie, poważne zagrożenie Abisynii.

W rzeczywistości Ghezan był tylko posterunkiem policyjnym strzeżonym przez 14 policjantów, którzy zostali wycofani dwa dni zanim Włosi zajęli tę miejscowość. Do walk wcale nie doszło. Bambode zaś znajduje się w ogóle na terytorium włoskim, więc nie mogło zostać zajęte przez Włochów. Włosi natomiast z Bambode podjęli 23 lipca atak poprzez granicę do Yaradaa, punktu niestrzeżonego ani przez policję ani przez wojsko. Podobnie Sukeila-Derkali i inne miejscowości w północno-wschodniej Kenii, których zajęciem Włosi się głośno chwalili, wyobrażają po prostu nieobronne punkty nawodnione, w niezamieszkałej pustyni. Zajęcie przez Włochów miejscowości Moyale, gdzie mały oddział Królewskich Strzelców Afrykańskich zadał nieprzyjacielowi ciężkie straty zanim się wycofał, nie posiada również żadnego znaczenia wojskowego. Anglicy opuścili Moyale z powodu braku wody i rzecz oczywista dowódca sił angielskich nie miał najmniejszych podstaw do bronienia północnej pustyni stanowiącej wrota do Kenii.

Tego rodzaju bezkrwawe "zwycięstwa" stanowią może podnietę dla animuszu wojennego narodu włoskiego, ale jest rzeczą jasną, że nie posiadają one najmniejszego wpływu na przebieg kampanii wojennej. Istota wojny afrykańskiej sprawia, że właściwym celem akcji wojennej nie jest okupowanie terytoriów lecz pokonanie sił nieprzyjacielskich. Czy porażki zadane nieprzyjacielowi mają miejsce po tej czy po tamtej stronie granicy, nie odgrywa w ogóle żadnej roli. Wojna w Afryce jest w dużym stopniu wojną wytrzymałości i na tym przede wszystkim polega obecna taktyka brytyjska. Ani materiału ludzkiego, ani sprzętu wojennego utraconego w tej walce tak łatwo się nie zastąpi. Dlatego też straty w ludziach, w amunicji i w sprzęcie wojennym znaczą daleko więcej aniżeli jakiekolwiek posuwanie się na przód lub wycofywanie się. Jedynym obliczeniem, które w wojnie afrykańskiej posiada istotną wartość, jest zniszczenie sił nieprzyjaciela, których nie jest on w stanie zastąpić.

Stefan Litauer

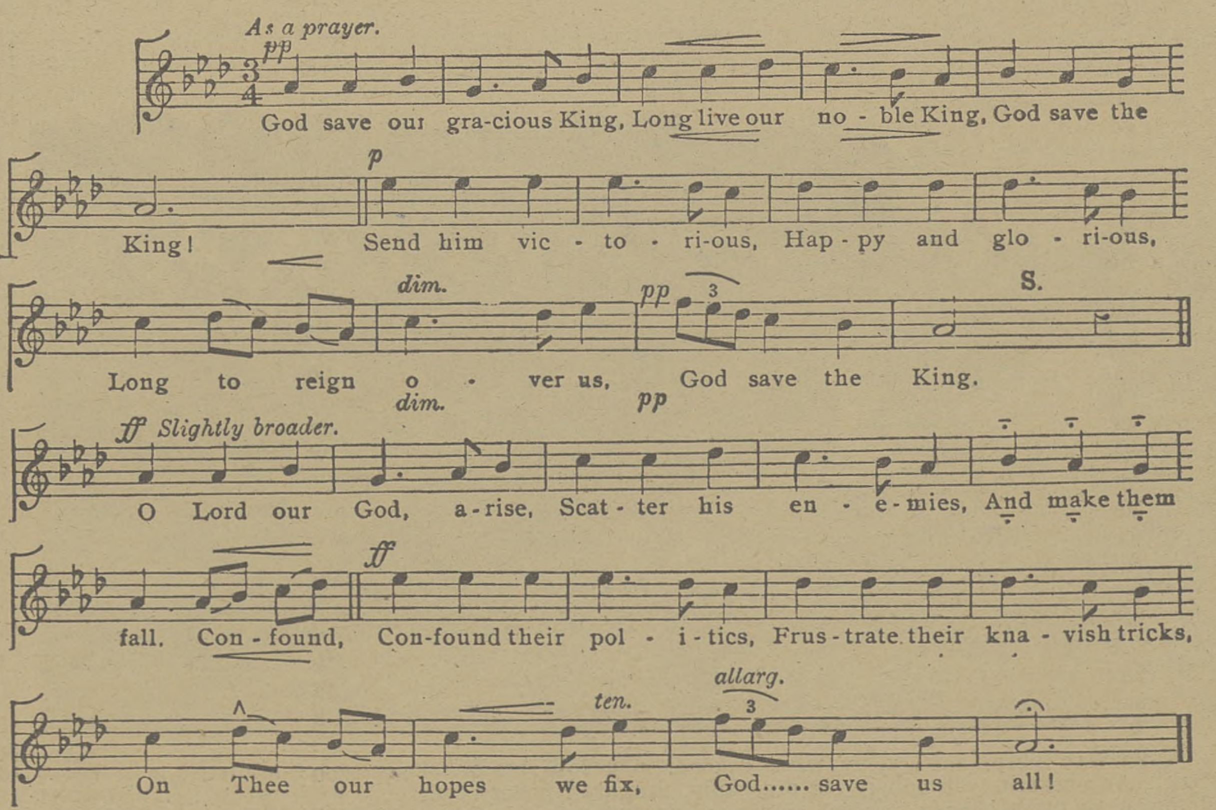
"God Save the King"

CHROŃ KRÓLA, BOŻE NASZ,
DŁUGIM ŻYWOTEM DARZ,
CHROŃ KRÓLA NAM!
ZWYCIĘSTWA W BOJACH DAJ,
DO SŁAWY WIEDŹ GO BRAM,
BŁOGOSŁAW JEGO KRAJ,
CHROŃ KRÓLA NAM!

O! POWSTAŃ PANIE NASZ,
I WROGÓW ZWAL NA TWARZ,
W PROCH STRĄĆ I PYŁ!
KNOWANIOM ZADAJ KŁAM,
ZAMYSŁY CHYTRE ZŁAM,
TYŚ PANIE ZBAWCA NASZ,
CHROŃ KRÓLA NAM!

KRÓLEWSKI DAJ MU BLASK,
OBDARZ GO ZDROJEM ŁASK,
NIECH WŁADA NAM.
NIECH BRONI PRAW I NAS,
BYŚMY PO WIECZNY CZAS
ŚPIEWALI TOBIE WRAZ:
CHROŃ KRÓLA NAM!

John Bull (1563—1628)
Przełożył J.A. Teslar



ANGIELSKI HYMN NARODOWY

Historia powstania hymnu "God Save the King" nie jest jasna. Był on śpiewany w 1740r. jako własna kompozycja Henryka Carey'a, ale z tego roku żaden jego tekst się nie dochował. W druku ukazał się on w październiku 1745r. w czasopiśmie "Gentelman's Magazine."

Co do autorstwa tekstu i melodii istnieje spór do dziś dnia nierozstrzygnięty. Spór ten pochodzi stąd, że najstarsza, nam dziś nieznana forma tak melodii, jak i tekstu, której autorem miał być John Bull uległa w późniejszych latach przeróbkom. Kwestii tej poświęcili monografie Richard Clarke ("*Account of the National Anthem,*" 1822) i Dr. W. H. Cummings ("*God Save the King,*" 1902). Otóż, gdy jedni z historyków muzyki przypisują autorstwo Carey'owi, drudzy przypisują je Bull'owi. Co więcej, Frank Kidson (w pracy p.t. "*Minstrelsy of England,*" 1901) wprowadza na scenę trzeciego domniemanego autora, nazwiskiem James Oswald. Był to Szkot, który w r. 1742 osiadł w Londynie, pracował dla firmy John Simpson, wydawcy najstarszego znanego nam tekstu hymnu, i który też był nadwornym kompozytorem króla Jerzego III.

Ostatecznie można przyjąć jako najprawdopodobniejsze następujące rozstrzygnięcie tego sporu: autorem najstarszego tekstu i melodii narodowego hymnu angielskiego był John Bull, ten pierwotny tekst uległ zmianom wprowadzonym przez Carey'a, a być może także przez Oswalda, którzy nadali mu ostateczną, dziś nam znaną formę.

Wobec tego nieobojętna będzie też garść wiadomości, dotyczących osoby i działalności John Bull'a. Urodził się on w 1562 r. w Somersetshire, był kompozytorem i organistą, otrzymał stopień doktora muzyki w 1582 r. na uniwersytecie w Cambridge. W 1601 wyjechał zagranicę do Francji i Niemiec, gdzie był przyjmowany z honorami i hołdami, należnymi jego talentowi jako muzyka i kompozytora. Różni książęta kontynentu ofiarowywali mu wybitne stanowiska na swych dworach, lecz John Bull wolał powrócić do Anglii. Gra on tu przed królem Jakubem I-ym. W 1613 musi jednak wyjechać ponownie na kontynent, celem leczenia się. W 1613 jest nadwornym organistą przy książęcej kaplicy w Brukseli, a w 1617 r. w Notre Dame w Antwerpii, gdzie też umiera w 1628 r.

Trudno orzec czy popularność jego imienia, jako sławy swej epoki i autora hymnu narodowego, czy też zestawienie nazwiska jego z wyrazem "Bull" oznaczającym byka, uczniły z nazwiska: John Bull nazwanie ogólne typowego Anglika, karykaturowanego dobrotliwie, ale przedstawiającego siłę i chłopski zdrowy rozum. Jest to powszechnie, zwłaszcza na kontynencie znane imionisko, podobnie jak dla Francji "Marianne," a dla Stanów Zjednoczonych "Wuj Sam." Nie ma w tym nic obraźliwego oczywiście, jeno raczej poufałe a sympatii pełne nazwanie typu przeciętnego Anglika.

J. A. Teslar

„PIĄTA KOLUMNA"

W chwili obecnej, po kampanii norweskiej, belgijskiej i holenderskiej, po kapitulacji Francji, cały świat zdaje sobie doskonale sprawę z roli, jaką odegrała w tych krajach akcja szpiegostwa i dywersji, zastosowana przez Rzeszę na skalę dotąd w historii nieznaną, a ochrzczona w obecnej wojnie mianem "Piątej Kolumny."

Narodziny tego n o w e g o "oręża" i zastosowanie go po raz pierwszy jako samodzielnego środka walki miało miejsce już podczas kampanii wrześniowej w Polsce. Sukcesy podówczas osiągnięte musi armia niemiecka podzielić z tą organizacją hitlerowską, bez której współpracy ani lotnictwo niemieckie, ani czołgi nie wystarczyłyby do złamania oporu Polski i jej nieprzygotowanej, ale bohaterskiej armii. Opór dzielnie stawiany nieprzyjacielowi uniemożliwiła dopiero akcja szpiegowska zorganizowana na gigantyczną skalę, zdrada czająca się na każdym kroku, potworne zamieszanie wywołane przez agentów hitlerowskich, niszczących połączenia komunikacyjne, a zarazem rozpuszczających za wczasu przemyślane, fałszywe wieści, siejące panikę i skłaniające ludność do opuszczania siedzib i masowego tarasowania dróg publicznych.

Niejednokrotnie drukowaliśmy w "Polsce Walczącej" dane dotyczące dywersji w Rzeczypospolitej. Obecnie jednak pragniemy je podsumować, aby ogółowi naszych żołnierzy, oraz ogółowi polskich uchodźców dać materiał, umożliwiający im informowanie społeczeństw, wśród których się znaleźli, skąd grozi im najstraszniejsze niebezpieczeństwo i zguba.

Jak wykazała kampania wrześniowa dywersja w Polsce przygotowywana była przez szereg lat. Mimo paktu o nieagresji, mimo zapewnień przyjaźni, Rzesza systematycznie deprawowała obywateli polskich pochodzenia niemieckiego, skłaniając ich agitacją, a gdzie było potrzeba terorem do działania na rzecz hitleryzmu. W przededniu wojny nie było już w Polsce lojalnych Niemców. Wszyscy byli podporządkowani—dobrowolnie lub ze strachu, razistom. Mniej się bali polskiej policji, która stosowała represje dopuszczone prawem, niż Gestapo, które nie cofało się przed szantażem i zbrodnią. Każdy Niemiec był szpiegiem lub pomocnikiem szpiegowskim, każde niemieckie biuro handlowe placówką obcego wywiadu, każda bela towarowa sprowadzona z Niemiec "koniem trojańskim," wewnątrz którego mogły się kryć zapasy broni i amunicji. Każdy niemiecki turysta, każdy uczony odwiedzający polskie instytucje naukowe, każdy rzemieślnik czy specjalista przybyły z Niemiec, każdy niemiecki gość czy przyjaciel—był agentem obcego wywiadu i przyszłym dywersantem! W ten sposób Polska, która liczyła około 2.6% ludności pochodzenia niemieckiego, miała wewnątrz kraju ponad 300,000 wrogów, nie licząc wielu Niemców z Rzeszy, którym nieopatrznie udzielono gościny..

Obok tego zastępu tajnych wrogów wewnętrznych, hitlerowcy przygotowywali przeciw Polsce kadry przyszłych dywersantów, w licznych szkołach rozrzuconych po całej Rzeszy. Szkoły te działające już w r. 1937 uczyły młodych hitlerowców języka polskiego, geografii polskiej, a nawet polskich gwar ludowych. Organizacja szkolenia była przemyślana do najdrobniejszego szczegółu. "Uczniowie" byli przygotowywani do odgrywania roli "uchodźcy" polskiego, na długo przedtem zanim ktokolwiek mógł przewidzieć, że wojna lotnicza poruszy z miejsca całe wsie i skłoni je do ucieczki przed siebie, w nieznane. Byli inni przeznaczeni do odgrywania roli policjantów polskich, albo szkoleni w rzemiośle puszczania trwożliwych wieści i w sposobach wywoływania paniki. Wiadomości o tych "szkołach" w mglisty tylko sposób przenikały do kontrwywiadu polskiego, jak dziś w mglisty tylko sposób mówi się o podobnych szkołach dla Anglii. Dokładniejsze informacje o nich pochodzą dopiero z okresu wojny, od dywersantów niemieckich ujętych przez wojska polskie. Agenci ci, badani, opowiadali wiele ciekawych szczegółów.

Jakże wyraźnie dziś jeszcze widzę te postacie i twarze przychwyconych przez wojska polskie dywersantów! W rozmaitym przebraniu, w skórze polskiego policjanta, żołnierza czy chłopa—występowali ci młodzi ludzie, pochodzący z wszystkich dzielnic niemieckich. Byli między nimi tchórze, zdolni do mordowania kobiet i dzieci, a załamujący się pod grozą rozstrzelania, ale byli i odważni, którzy nieraz drogo kazali płacić za wzięcie ich z bronią w ręku. Przeważnie doskonale, prawie bez akcentu mówili po polsku, niekiedy z przesadną wymową ludową. Niektórzy zdawali się być dumni z "wyszkolenia," jakie otrzymali. Jeden pochodził z Nadrenii, gdzie za młodu stykał się z Polakami emigrantami i nauczył się trochę po polsku. Na tej podstawie został przez Hitler-jugend skierowany do "szkoły" w roku 1937. W szkole, na kursie trwającym 8 miesięcy, uczono ponad 40 młodych Niemców języka polskiego, kładąc szczególny nacisk na akcent i czystość wymowy. Uczono oczywiście także posługiwania się materiałami wybuchowymi, sygnalizacji i innych umiejętności niezbędnych w zawodzie dywersanta. Specjalnie obszernie wykładano geografię tego odcinka kraju, w którym poszczególni dywersanci mieli działać. Toteż poźniej, w czasie wojny, dochodziło do tego, że zrzucony spadochronem dywersant, nie tylko doskonale mówił po polsku, ale orientował się świetnie w miejscowości, do której "spadł z nieba," tak, iż bez zapytania mógł poruszać się, uchodząc w ten sposób nawet największej czujności obrońców. Po ukończeniu kursów niektórzy z "uczniów" dostawali posady w przedsiębiorstwach niemieckich w Polsce, a wszystkim umożliwiono poznanie ich przyszłego terenu posyłając ich jako "turystów" do Polski.

Z chwilą wybuchu wojny, razem z armią niemiecką wkroczyły do Polski przygotowane do działania grupy dywersyjne. Pierwszą ich czynnością było wywołanie paniki wśród ludności, spowodowanie masowej ucieczki z miejsc zamieszkania, a co za tym idzie, zatarasowanie dróg i utrudnienie w ten sposób obrony. Pojawili się fałszywi polscy policjanci nawołujący do ewakuacji, fałszowano polecenia władz, na falach polskich stacyj radiowych nadawano fałszywe wezwania do ewakuacji całych dzielnic w głąb kraju. W większych miastach władze polskie panikę taką często powstrzymywały, ale we wsiach i miasteczkach nie było nikogo, kto by podał ludności prawdziwe wiadomości, tym bardziej, że połączenia telefoniczne zostały w wielu miejscach zerwane przez samoloty lub przez dywersantów. Toteż ludność pogranicza ruszyła na ślepo przed siebie, zabierając dobytek na wóz i pędząc inwentarze. Powstał niebywały ścisk i zator. Drogi, rowy przydrożne, pola pobliskie, pełne były bydła bezpańskiego, pogubionego przez właścicieli w powodzi ludzi i pojazdów ciągnących na wschód. Oddziały polskie śpieszące na front musiały godzinami rozładowywać drogi, co opóźniało lub uniemożliwiało ich działanie.

Sytuacja na drogach przyczyniła się w dużej mierze do początkowego sukcesu Niemców, a nadto pozwoliła hitlerowcom na dalszy rozwój ich planów. Mianowicie do mas uciekinierów przyłączali się, czekający już zawczasu dywersanci. Byli oni przebrani bądź to za chłopów polskich, bądź za żołnierzy i policjantów. Jechali wozami zrabowanymi w pogranicznych wsiach polskich. Ale na wozach tych, pośród worków z dobytkiem chłopskim mieli ukrytą broń i amunicję. Ci fałszywi uciekinierzy przedostawali się wraz z innymi przez linie polskie i na tyłach, w odległych nieraz od frontu miastach i wsiach ukrywali się wraz z bronią u Niemców, członków organizacyj szpiegowskich. W kryjówkach pozostawali tak długo jak było potrzeba, aby w momencie najkrytyczniejszym dla wojsk polskich wywołać zaburzenia, robić zamachy na tabory, przecinać połączenia telefoniczne. Kilka większych grup dywersyjnych otrzymało polecenie wywołania w określonym czasie powstań mieszkańców Niemców. Powstania te zostały wszędzie przez ludność polską szybko stłumione, przyczem karano pojmanych agentów śmiercią, co później dało Niemcom podstawę do oskarżania Polaków o okrucieństwa wobec mniejszości.

Kiedy ucieczkę ludności i "zatkanie szos" wykorzystano już do przemycenia na tyły agentów, poczęto dla dalszego zwiększania zamętu, atakować bezbronnych uchodźców bombami i obstrzałem lotniczych karabinów maszynowych. Przerażeni wygnańcy przerzucali się z miejsca na miejsce, zapełniali wszystkie wsie i miasteczka. Wszędzie pełno było obcych, a pomiędzy nimi z łatwością mógł się ukryć szpieg, sygnalizujący wojskom niemieckim każde poruszenie armii polskiej. Nowe stanowiska artylerii, nowe prowizoryczne lotniska, siedziby sztabów polskich były bezwłocznie wskazywane przez szpiegów niemieckiemu lotnictwu, które natychmiast je bombardowało. Sposoby sygnalizacji—w nocy świetlnej, a w dzień przy pomocy znaków były już uprzednio ustalone i wyuczone. Były również przygotowane znaki rozpoznawcze na wypadek zetknięcia się dywersanta z wojskami niemieckimi.

Specjalny rozdział akcji dywersyjnej stanowiło użycie spadochroniarzy. Taktyka ta nie była tak szeroko stosowana, jak później w Norwegii i Holandii, ale byli w użyciu zarówno pojedyńczy "skoczkowie," zrzucani dla celów wywiadowczych w miejscach, gdzie nie dotarli dywersanci i gdzie nie było stałych szpiegów-rezydentów, jak i całe grupy zrzucane dla celów bojowych. Spadochroniarzy zwykle zrzucano o zmierzchu, tak aby lotnik mógł jeszcze dostrzec miejsce dogodne do lądowania, i aby spadochroniarz zaraz po wylądowaniu mógł skorzystać z zapadających ciemności dla ukrycia się. Pościg za zauważonym spadochroniarzem często nie dawał w tych warunkach rezultatu, tym bardziej, je był on zawsze przebrany za Polaka, władał językiem i posiadał wiarygodne dokumenty, najczęściej więc potrafił się zmieszać z tłumem.

Wszystkie te metody, sposoby i środki techniczne znalazły zastosowanie w kampanii północnej a potem w Holandii, Belgii i Francji.. Te same tłumy uciekinierów wypędzone z domów i zalegające drogi.. Te same postacie mniej lub więcej dokładnie modelowane na "żandarmów belgijskich," górników z Lotaryngii i chłopów flandryjskich. Nie brak było nawet—widocznie dla wprawy, fałszywych Anglików. Ta sama akcja rozsiewania fałszywych pogłosek i sygnalizacji dawanej lotnikom niemieckim przez setki szpiegów rozsianych śród ludności. Tylko nieco mniej bomb poza frontem, bo potrzebny był większy wysiłek na froncie i obrona przeciwlotnicza, zwłaszcza Królewskiej Floty Powietrznej, byłą silniejsza, niż w Polsce. Wszystko było powtarzane jak na popisie i niestety tak się pięknie po raz drugi, trzeci i czwarty udało, że niewątpliwie będzie zastosowane znowu przy okazji, tym bardziej, że wiara Niemców w bezbrzeżną naiwność przeciwników i w doskonałość własnych metod utrwaliła się ostatecznie.

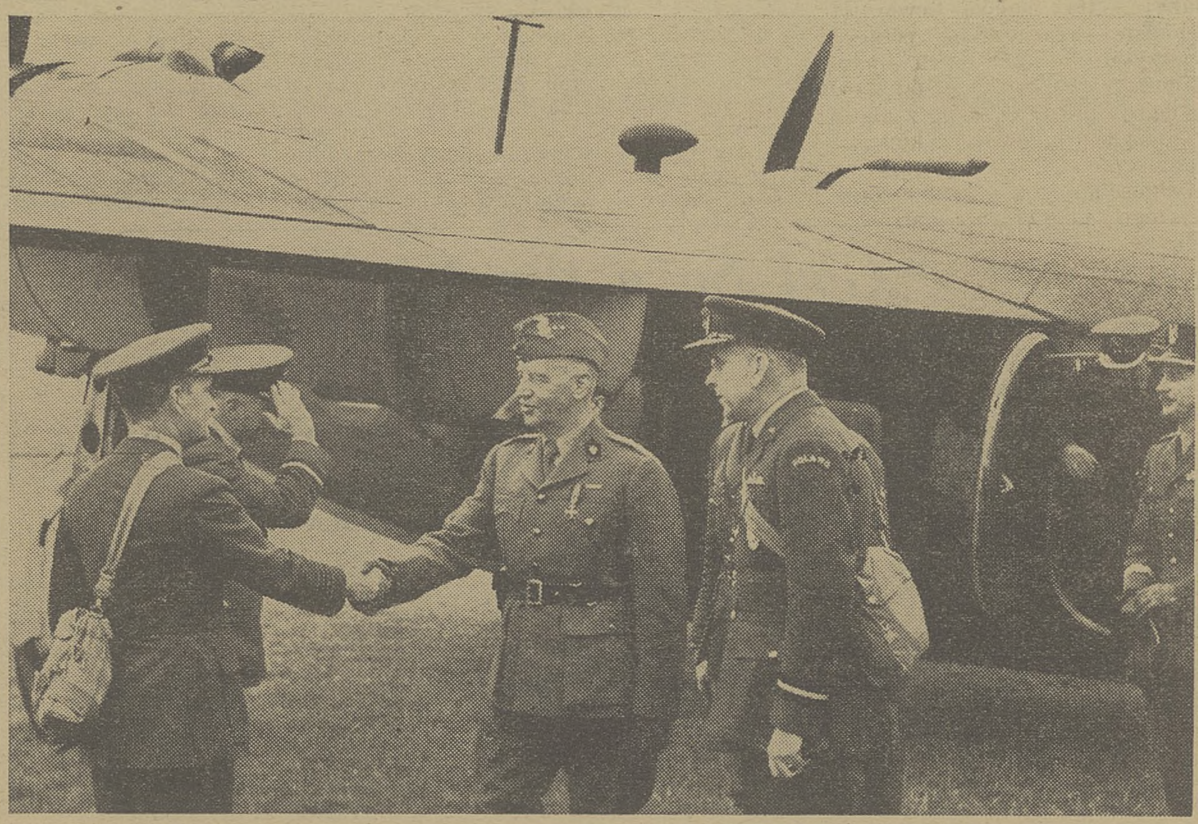
Jakież wnioski należy wyciągnąć z dotychczasowego przebiegu wydarzeń, zapoczątkowanych klęską Polski, a zakończonych tak tragicznym upadkiem Francji?

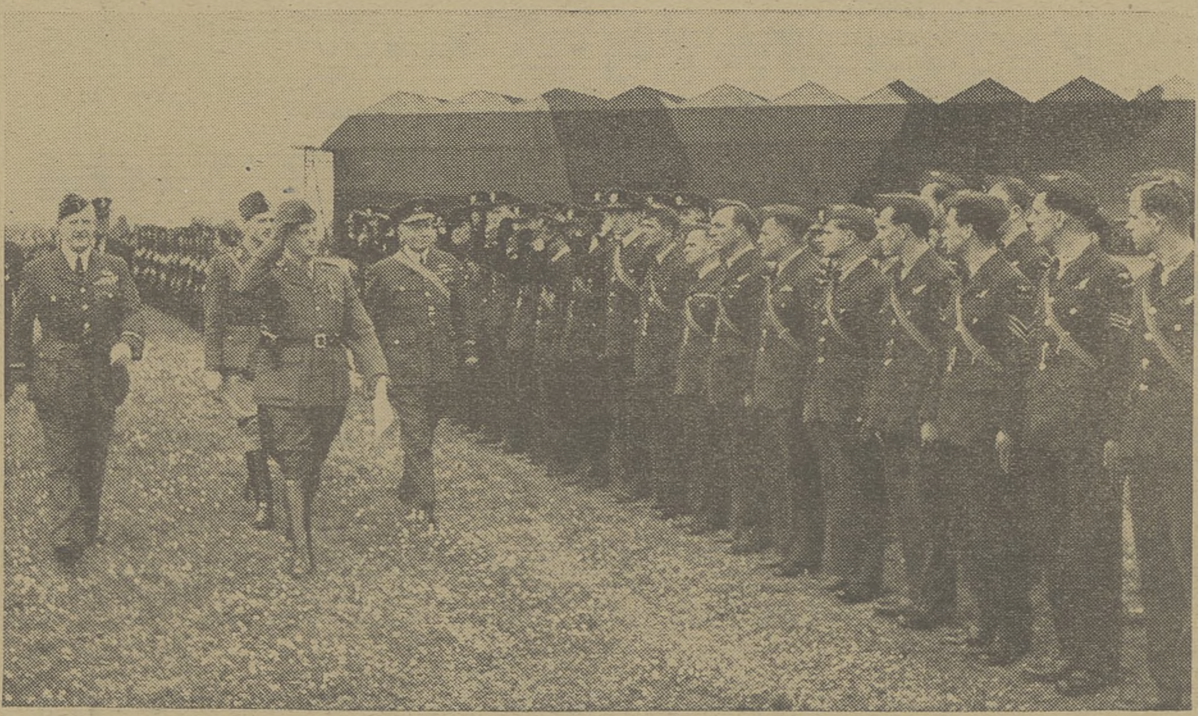
Wydaje mi się, że należy doprowadzić czujność do przesady, a przede wszystkim trzeba we wszystkich krajach, które pozostały jeszcze wolne i które chcą wolność zachować, zdobyć się na natychmiastową likwidację wszystkich czynników mogących stać na usługach hitlerowskich, bez skrupułów, bez fałszywego humanitaryzmu, za każde bowiem zaniedbanie trzeba będzie płacić krwią własnego narodu i stratami nie do powetowania.

Każdy Polak na emigracji powinien stać się przedstawicielem tego stanowiska. Każdy powinien współdziałać z narodami, z których gościnności korzysta w bezwzględnej rozprawie z "tajemniczą bronią" Hitlera.

Jan Kowalski

Naczelny Wódz w obozach lotniczych





Dnia 7-go sierpnia Naczelny Wódz dokonał inspekcji obozów szkoleniowych lotnictwa polskiego w Anglii. W obozach tych odbyły się przeglądy, defilady i pokazy ćwiczebne bombowców i pościgowców, pilotowanych przez obsady polskich lotników. Na jednym z lotnisk generał Sikorski dokonał dekoracji oficerów i podoficera Krzyżami Walecznych. Na innym wygłosił przemówienie, w którym m. in. powiedział:

"Naszą przyszłość związaliśmy z Wielką Brytanią, która staje śmiało na czele narodów, bijących się o lepsze jutro. Dzisiaj jesteśmy jej wiernym sojusznikiem. Jutro będziemy jej równorzędnym partnerem w urządzaniu s t a r e g o kontynentu, zgodnie z świetnymi tradycjami anglo-saskimi. Pamiętajcie, że przez Waszą pracę rzucacie w tym przełomowym dla całej ludzkości okresie fundament pod przyszłość Polski, która odegra obok Wielkiej Brytanii tę właśnie rolę. A pamiętając o tym wskazaniu podstawowym, szukajcie zawsze i na każdym posterunku jak najściślejszych kontaktów z waszymi kolegami brytyjskimi. Ten okres zapoczątkować bowiem powinien lepszą dla Was przyszłość, w oparciu jak najściślejszym o Wielką Brytanię. Nie zapominajcie nigdy, że reprezentujecie na obczyźnie Polskę—tę Polskę dziś ukrzyżowaną, która umiała być kiedyś wielka i która jutro będzie znowu wspaniała."

Walczymy i walczyć będziemy

(Korespondencja z kompanii)

Miejsce naszego obecnego postoju w Szkocji porusza głęboko pamięć każdego z nas. Łąki zielone, łąki szmaragdowe, na których pasą się przeliczne stada krów i owiec. Jak inne są nasze utracone, oddalone łąki. Jak inne. . . . Nie ma porównania. Naokoło góry. Widać pasma pól owsianych i ziemniaczanych. Smugi pastwiskowe. Szczyty łagodne jak w Beskidach, w naszych śląskich Beskidach. Gdzie niegdzie zaciemnia się leśna polana. I wówczas niemo stwierdzamy, że u nas w górach boru było znacznie więcej. Niemasz to jak polskie puszcze!

Szemrze wartko rzeczka górska. Jak Poprad, jak Dunajec. . . . Jej migające fale ostrym ślizgiem pocierają się o kamienie. W niektórych zakolach woda ponad metr. W tych zakolach górskiej, kaledońskiej rzeczki wiara żołnierska kąpie się i pierze bieliznę między jednym a drugim obowiązkiem służbowym. Markotnieją pstrągi, że im białe intruzy przeczystość wody mącą. Tu, na geograficznej szerokości Kopenhagi i Kowna, daleko od Polski, jęczącej pod butem dwuzaboru—wpatrujemy się w słońce, w niebieski firmament, a najczęściej w chmury i w deszcze. Wtedy wydaje nam się, że patrzymy w samych siebie. . .

Od dnia, kiedyśmy się dowiedzieli na bretońskim froncie, że Francja leży pobita i nie chce dalej walczyć—minęło tylko parę tygodni. Są wśród nas mniej lub więcej zaawansowani wiekiem. Lecz na każdym klęska Francji i etapy przebytej drogi uczyniły taki ślad—jakby każdy z nich dojrzał o parę lat. Doświadczenie drugiej klęski—zwaliło sie na barki całym ciężarem swojej okropności.

Rozmaite w rozmowach powstają i przebrzmiewają myśli. Jedno jest tylko niezmienne i to zmienione być nie może. Walczyć będziemy z bandytami niemieckimi do ostatka. Do ostatniej kropli krwi. Do najlichszej cyferki dziejowego rozrachunku z najeźdzcą. A każdy z nas dobrze rozumie walor takiej rozgrywki na śmierć i życie. A każdy z nas dobrze rozumie istotę wszelkiego ryzyka. Bowiem sam już nieraz umiał, niepomny na nic, ryzykować całym sobą dla dobra sprawy. Przecież tylko dla Polski!

Kiedy w krwawym wrześniu odwieczny wróg ziemię naszą ojczystą nachodził—każdy z nas szedł po broń. I nie jego, nie jego winą było, że broni nie dostał. A potem szedł do Francji. Przez góry, bory, rzeki. Często dosłownie na przełaj. Jako ów ze "Snu o Szpadzie" niezapomnianego nigdy Żeromskiego. Ów rycerz, dziś nam tak daleki i bliski zarazem. Daleki latami, warunkami. Bliski, jakże bliski tym, co w nas samych jest.

We Francji dawaliśmy ze siebie nieomal wszystko, jeśli szło o chęć pokonywania trudności. Wszystko, wszystko na rzecz sprawy. Nie za naszą przyczyną stało się to, co się stało z Francją. I napewno nie za przyczyną właściwie patriotycznych mas francuskich. Jest to klęska zbyt zawiła, nie z dziś, ale z dnia wczorajszego wypływająca. Czuliśmy, jak ta klęska zbliżała się. Widzieliśmy jej przyjście. Widzieliśmy radość Francuzów na wieść o rozejmie. A sięgnąwszy wstecz—nie widzieliśmy czegoś podobnego w naszej nieszczęsnej Polsce. Dwakroć jesteśmy dumni z narodu, który nas wydał.

Przeprawa z Francji do Anglii nie należała do łatwych. Dzięki wyraźnej Opiece Boskiej, dzięki nad wyraz sprawnej przedsiębiorczości marynarki Jego Królewskiej Mości—przebrnęliśmy i tę morską granicę. Inna ona była, niż tyle granic poprzednich. Inna, groźniejsza, bo nieoczekiwana.

Kto przeszedł przez to ostatnie sito—ten jest naprawdę bez frazesu dzielny, zahartowany fizycznie i duchowo. Jeśli by pośród nas znalazł się taki lub ów nieodpowiedzialny, któryby wszystko traktował pod kątem osobistych rachub, pod kątem poborów, uciech, dostatków i wygód—rzeczywistość go przypuszczalnie srodze zawiedzie. Nie ma wśród nas miejsca na patentowanych dekowników, materialistycznych malkontentów, ideowych staruszków. Jest wśród nas miejsce jedynie i wyłącznie dla żołnierzy w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Jesteśmy bez reszty pogrążeni w rozmyślaniach o Polsce. Nie tylko frasunkiem myśli codziennej. Lecz również w codziennych kawałach, czynionych drużynie przez drużynę. Aby oderwać się od ustawicznych myśli, co porabiają nasi w kraju. Czy mają o nas jakieś pewne wieści? Mój Boże! iluż z nas na wieki zostało wśród niebezpiecznej drogi ku Francji. Iluż polską krwią na zachodzie i norweskiej północy uwierzytelniło hasło "za naszą wolność i waszą." Wróg bezwzględny, nie liczący się z nikim i z niczym—napewno w komunikatach swoich ze specjalną zaciekłością, dla tym okrutniejszego pognębienia stroskanych w kraju serc polskich—bezwstydnie rozgłasza własne sukcesy, jak również i efekty, przeciwdziałające przerzuceniu armii naszej z Francji do Anglii. Tylko intuicja naszych bliskich, tylko przeświadczenie o sprawiedliwości i słuszności naszej sprawy—mogą dziś być jedynie zrozumiałym sygnałem między nami a rodzinami, które zostały w kraju. Rodziny te nie wiedzą, czy jeszcze żyjemy. Rodziny te napewno czują, że żyjemy i walczymy.

A my walczymy i walczyć będziemy bez względu na nasze jednostkowe koleje losu. Walczymy bowiem z naszym śmiertelnym wrogiem. Walczymy przeciwko dziejowemu złu, którego siedliskiem jest cały bez wyjątku naród niemiecki. Walczymy o sprawiedliwość dziejową. Walczymy przeciwko najazdowi, rabującemu nasze, odwiecznie polskie ziemie. Walczymy przy boku sojuszniczej Wielkiej Brytanii. I my tak samo, z tą samą zapalczywością, jak dotąd nie złożyliśmy, tak póki tchu w piersiach nie złożymy broni. Żołnierz polski, choć poza granicami, nie utracił swojej Ojczyzny—gorąco wierzy w Polskę. Doskonale świadom wielkiej przyszłości Polski. Jest tedy własnej, dziś cierpiącej Ojczyźnie, wierny do ostatniej kropli krwi, do ostatniego dechu, do ostatniego błysku bitewnej stali.

Straszliwe zmagania, jakich widownią jest Europa dziś, a jutro cały świat—niosą w bolesnej męce rodzenia nowe jutro. W walce o nasze jutro z najbezwzględniejszym wrogiem, my, Polacy, jesteśmy w pierwszym szeregu, niezachwiani od pierwszego dnia wojny. Niezmiennie wierzący w ostateczne zwycięstwo, pomimo fatalnych ciężarów i klęsk, jakie zwaliły się na nasze barki.

Walczymy i walczyć będziemy. Bo tylko przez nieustanną walkę zmóc możemy barbarzyńskiego wroga, którego siła sukcesów polega na tym, by uzyskać najwięcej, manipulując szybkością i czasem, bezwzględnością metod, terrorem, i biciem każdego pokonanego.

Wawrzyniec Czereśniewski

U lotników



Jeden z dowódców polskich



Jeden z dowódców angielskich



Załogi

Rysował Feliks Topolski

Kampania norweska: Ankenes-Bejsfiord

W ogólnym planie zdobycia Narwiku, Brygadzie Podhalańskiej przypadło w udziale zdobycie Ankenes—Bejsfiord, klucza obrony Narwiku.

W noc z 27 na 28 maja, o północy artyleria jedenastu kontrtorpedowców brytyjskich i jednego krążownika otworzyła ogień na pozycje niemieckie w Ankenes. W pół godziny później piechota Brygady wyruszyła do natarcia, wspierana przez jeden czołg francuski. Jednocześnie od zachodu rozpoczęła się kanonada silniejszej eskadry, wspierającej natarcie Legii Cudzoziemskiej na właściwy Narwik.

Natarcie batalionu Brygady wychodzi z dwóch wzgórz, 295 i 405, spływających północnymi zboczami ku Ankenes, Lingenes, Haugen i Nyborg, wioskom leżącym wzdłuż Bejsfiordu naprzeciw Narwiku. Czołg wspiera natarcie od południowego wschodu na samo Ankenes, gdzie—jak słusznie przewidywano—opór jest największy. Betonowe podmurowania spalonych domów przerobione na doskonałe schrony zieją ogniem karabinów maszynowych, lekkich i ciężkich, pistoletów automatycznych- i moździerzy. Nawet z wraku jednego z transportowców, zalegających morskie cmentarzysko zatoki narwickiej Niemcy zrobili blokhauz, wyposażony w ciężkie karabiny maszynowe.

Niemcy bronią się zaciekle, doskonale wiedzą, że mają naprzeciw siebie znienawidzonych "Karpaten Jaeger." Dowiedzieli się zresztą o tym nazajutrz po przybyciu Brygady do Norwegii. Najpierw "Deutsche Nachrichten" ogłaszało, że polska Brygada jadąca do Norwegii spoczywa już na dnie północnego Atlantyku, potem kiedy dojechaliśmy, pojawiły się ulotki nawołujące do rzucenia broni i przejścia na stronę niemiecką, skąd, jak twierdziła ulotka, otwarta jest droga do Warszawy i zrujnowanego kraju, który potrzebuje pracy polskich rąk. Kiedy wreszcie II-gi Batalion wszedł do akcji, nad liniami niemieckimi pojawiły się afisze tej mniej więcej treści: "Strzelce Gorskie, porzucie sluzba kapitalzmu Anglji i chodzcie do nas. Kraj was czeka." Nie dodano wprawdzie jaki to właściwie kraj nas czeka i w jakim charakterze, ale i tak żołnierze mieli chwilę wesołości, o którą mimo wszystko łatwiej jest na froncie, niż gdzie indziej.

Natarcie II-go Batalionu trwa. Kompania nacierająca na Ankenes zatrzymuje się w miejscu. Niemcy rzucają nowe siły do przeciwnatarcia, przez co zostają zagrożone pozostałe kompanie jego nacierające ze wzgórz 295 i 405 na Haugen i Nyberg i mające za zadanie zniszczyć nieprzyjacielskie gniazda oporu w tych miejscowościach i odciąć główną siłę w Ankenes od wycofania się wzdłuż brzegów fiordu do Narwiku.

Niemieckie przeciwnatarcie wzmaga się na sile. Kompania II-go Batalionu ma co raz większe straty. Ginie kapitan Moreń, dowódca 2-ej kompanii K.M., ginie podporucznik Kempny. Dowódca Brygady rzuca na zagrożony odcinek kompanię IV-go Batalionu, która dojeżdża do linii ognia na samochodach i, całkiem świeża, wchodzi natychmiast do akcji. Niemcy zostają powstrzymani i odrzuceni. Jednocześnie pozostałe kompanie II-go Batalionu osiągają z pełnym powodzeniem przedmioty natarcia. Ginie mimo to kilkunastu żołnierzy.

Mimo zaciętego oporu jest to już masakra Niemców. Widząc, iż wycofanie się lądem jest niemożliwe, usiłują wydostać się z matni morzem. Część próbuje przedostać się na drugi brzeg fiordu w małych szalupach gumowych, niektórzy próbują płynąć wpław, 12 poddaje się do niewoli, polskiej niewoli, której dzięki propagandzie bardziej bali się, niż śmierci. Około południa 29 maja Niemców nie ma na półwyspie Ankenes. Jednocześnie prawie ściągnięto z góry dominującej nad Narwikiem swastykę a na jej miejscu zatrzepotał sztandar Norwegii. Akcja na Ankenes trwała 36 godzin bez przerwy. O zaciętości oporu niemieckiego może najlepiej świadczyć rzadko spotykany na wojnie wypadek większych strat u obrońcy, aniżeli u atakującego. Straty polskie wyniosły bowiem 45 zabitych i 76 rannych, podczas kiedy na niemieckich stanowiskach naliczono po bitwie 116 trupów, do czego doszło 62 potopionych we fiordzie ogniem naszych karabinów maszynowych i angielskiej artylerii wsparcia.



Niemcy za wszelką cenę pragnęli poddać się każdemu byle nie Polakom, woleli, jak się rzekło, śmierć. Nerwy ich w całym szeregu wypadków nie wytrzymywały starcia z Polakami, nie dlatego nawet, żeby było ono szczególnie okrutne. Po prostu do wszystkich okropieństw wojny dochodziło, dla nich, jeszcze jedno—ciągle odradzająca się Armia Polska, mimo kampanii wrześniowej, eksterminacji i obozów ciągle wyrastająca naprzeciw niemieckiemu zalewowi. W ogniu walki pod Ankenes jeden z oficerów zgubił hełm i nałożył przypadkowo znaleziony płaski hełm angielski. Natarcie poszło dalej. W pewnej chwili z krzaków wyszło kilku Niemców z podniesionymi do góry rękami. Byli najwidoczniej rozradowani. "Kamerad, gut, Englisch" — zainaugurował rozmowę jeden z nich. "Ich bin kein Englisch, wir sind Polen" — odpowiedział rozbrajający ich oficer. "Mein Gott, wieder diese Polen"—krzyknął zrozpaczony Niemiec.

Jednocześnie z uderzeniem na Ankenes I-szy Batalion, wzmocniony elementami IV-go Batalionu, uderzył na wieś Bejsfiord i dalej wzdłuż półwyspu narwickiego, na Sildriekfiord odcinając Niemcom drogę odwrotu z Narwik do granicy szwedzkiej, kończąc w ten sposób cykl operacji objętych ogólną nazwą "zdobycia Narwiku."

Po to, aby dostać się do miejscowości Bejsfiord, leżącej na wewnętrznym cyplu fiordu o tej samej nazwie należy posuwać się albo wzdłuż brzegu fiordu, gdzie, o czym wyżej, siedzieli Niemcy i właśnie II-gi batalion rozpoczynał ich skuteczne wyrzucanie z zajętych stanowisk, albo też od strony lądu, czyli głębiej od południowego wschodu. Od tej strony jednak Bejsfiord i cała twierdza Narwiku, broniona była trójkątem umocnień, opartych na wzgórzach 775 i 650 i dalej, głęboko siegającym do tyłu. Nasilenie broni maszynowej i moździerzy ze strony niemieckiej to samo, co i w Ankenes, jeszcze bardziej strome wzgórza a raczej góry, jeszcze bardziej oślizgłe i trudne do podejścia. Dodać należy, iż Niemcy wykorzystując ukształtowanie terenu dopuszczają szturmujących na bardzo bliskie odległości, na których ogień pistoletów maszynowych jest morderczy.

Wydawało by się, iż zdobycie takiej pozycji bez znacznie przeważających sił piechoty, bez przygotowania artyleryjskiego jest nie do pomyślenia, chyba za cenę rujnujących strat. Jednakże manewr udał się, przy minimalnych stratach i w przewidzianym czasie. Udał się przede wszystkim dlatego, że był manewrem, znakomicie pomyślanym i przeprowadzonym, a nie masakrą. Z chwilą określenia ośrodków oporu nieprzyjaciela w tym rejonie, dowództwo I Pół-Brygady postanawia obejść pozycje. W tym celu jednak należy przejść po zboczach "wzgórza" 1183, które zresztą są lodowcem. Widzialność-O. Właśnie teraz pogoda, która jak na złość była piękna i słoneczna cały czas i umożliwiała niemieckim lotnikom bombardowanie z kilku tysięcy metrów, popsuła się. W górach już na wysokości 400 metrów kłębiły się brudne chmury, skracające pole widzialności do paru metrów a często do końca własnego nosa, nieomal w dosłownym znaczeniu.

Jednej z kompanii IV-go Batalionu, wzmocnionej moździerzami I Baonu zostaje powierzone obejście nieprzyjaciela.

28 maja wieczorem wspomniana kompania i moździerze zaszły na tyły nieprzyjaciela. Jednocześnie kompanie I-go Batalionu wsparte ogniem baterii francuskiej przypuszczają szturm od czoła. Niemcy widząc, że są w potrzasku rozpoczynają odwrót, który po paru godzinach zamienia się w ucieczkę. Pierwszy etap manewru osiągnięty. W noc z 28 na 9 maja patrole nasze wkraczają do Bejsfiord. Paru Niemców z pistoletem maszynowym usiłuje opóźnić posuwanie się. Dochodzi do walki wręcz i Niemcy zostają wykłuci bagnetami. Straty własne—6 zabitych i 11 rannych. Niemcy stracili przeszło 40 zabitych, ilości rannych nie dało się ustalić, gdyż zostali oni wyewakuowani razem z cofającymi się strzelcami tyrolskimi!

Zdobycie Bejsfiord, niewiarygodne z punktu widzenia wojny podręcznikowo - regulaminowej stało się możliwe dzięki następującym okolicznościom: współdziałaniu artylerii z piechotą doprowadzonemu do wyżyn doskonałości, moździerzom i ogólnie pogardzanym V.B. czyli granatnikom, no i wreszcie temu, co od Hannibala do Keitla, było istotnym warunkiem zwycięstwa, lepszemu, niż u przeciwnika funkcjonowaniu mózgów sztabowych. Pod ten mianownik można podciągnąć i zaskoczenie i manewr i t.z. "odrobinę szczęścia"—na wojnie bowiem wszystko jedno jakiej, należy przede wszystkim "ruszać rozumem."

Po zdobyciu Bejsfiord, Bataliony prą na przód za cofającym się nieprzyjacielem. Nad ranem 29 są już na właściwym półwyspie narwickim. Przedmiotem natarcia jest teraz Sildvikfiord, po drugiej stronie półwyspu narwickiego, nad zatoką Rombaken. Skały, mgła, Niemcy jak wyżej. Do tego dochodzą śnieżyce, szalejące po kilkanaście godzin bez przerwy i brak żywności. Zmiany stanowisk następują tak szybko, teren jest tak dziki [ilustracją tego może być np. fakt, że kompania, obchodząca nierzyjaciela pod Bejsfiord, mimo iż dowódca pół brygady znajdował się o 2 do 3 kilometrów od miejsca walki miała jedynie łączność radiową z resztą wojska], że nie ma po prostu możności dostarczenia walczącym oddziałom jakiegokolwiek pożywienia a t.zw. porcje żelazne były oczywiście oddawna zjedzone.

30 maja oddziały polskie osiągają Revsmaalaksla, "wzgórze" wysokości 970 m., i inne "wzgórze" Durmaalsfiord znacznie niższe, bo wysokości tylko 844 metry. Natarcie i śnieżyca trwają bez przerwy. Nocą (jeszcze raz trzeba przypomnieć, że noc w tych stronach i o tej porze jest kwestią już nie umowy, ale wyłącznie i jedynie miary czasu)—z 30 na 31 maja patrole nasze nawiązują łączność z patrolami Legii Cudzoziemskiej, posuwającymi się od przeciwnej strony półwyspu wzdłuż linii kolejowej. Za kilka godzin osiągniemy Sildvikfiord i zamkniemy odwrót do Szwecji cofającym się z Narwiku Niemcom. Taktyczne zwycięstwo pod Narwikiem, osiągnięcie zasadniczego celu-uniemożliwienie transportu rudy szwedzkiej i zniszczenie Narwiku ukoronowane zostanie schwytaniem oddziałów niemieckich albo wycięciem ich w pień.

Za kilka godzin przychodzi rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i załadowania. Bitwa o Narwik jest skończona. Pierwszy załadowuje się Batalion III-ci z bazy Brygady w Balangen, dalej II-gi, od zdobycia Ankenes znajdujący się w chwilowym odwodzie, potem ściąga z linii ognia IV-ty Batalion. Ostatni schodzi z gór I-szy Batalion dnia 7-go maja, po dziesięciodniowym nieprzerwanym boju. Żołnierze rozgrzani walką i zwycięstwem, mimo potwornego zmęczenia jakoś nie śpieszą się do odpoczynku. Ogólnie się przypuszcza, włażąc na niestrudzone i gościnne "destroyery" brytyjskie, że jedziemy pod Bodo, o 200 km. na południe od Narwiku. Miasto to, zostało właśnie zbombardowane z powietrza przez Niemców ze specjalnym uwzględnieniem szpitala i kościołów i wojska brytyjskie pod naciskiem pancernych oddziałów niemieckich trochę cofnęły się. Jak się jednak okazało jechaliśmy do Francji. Ale tego nikt z Brygady nie mógł przypuścić.

***

Pieśń jednej z kompanii podchorążówki z Guer zaczynała się od słów: "każdy lis swój ogon chwali." Takim lisim ogonem Brygady, przedmiotem dumy była marynarka brytyjska. Od chwili przyjazdu do Norwegii była ona wiernym jej opiekunem. W pierwszych tygodniach działań wojennych wojna z Niemcami bardzo przypominała wrzesień 1939 roku w Polsce. Oni byli w powietrzu a my na ziemi, z tym, że jedyną broń przeciwlotniczą Brygady stanowiły zwykłe karabiny maszynowe Hotchkissa, model 1916; nie wyposażono ich nawet w nowe celowniki przeciwlotnicze, które zostały wprowadzone w armii francuskiej. Wobec nowoczesnych samolotów skuteczność ich była akurat taka sama, jak dubeltówki czy bumerangu. Jedyną ochroną w tych czasach były działa kontrtorpedowców brytyjskich.

Wszystkie operacje przygotowawcze do właściwych działań wojennych odbywały się pod Narwikiem wodą. Kutrami jeździły muły, amunicja, posiłki, ranni i sztab Brygady. Drogi lądowe były wyjątkowo złe, niepewne z powodu ciągle spuszczanych desantowców samolotowych w norweskich mundurach a poza tym miały charakter lokalny. Cały prawie obrót odbywał się wodą. I znów niestrudzona flotylla destroyerów i kanonierek umożliwiała to wszystko. Stale patrole ściągały na siebie bomby niemieckie i nie mówiąc już o dużej ilości samolotów, strąconych ogniem artylerii przeciwlotniczej odwracały uwagę lotników od żeglugi kabotażowej.

Ofiarność załóg była ogromna. Niektóre z nich tygodniami całymi nie schodziły na ląd, po półtora miesiąca i więcej będąc w ciągłej, żmudnej i niewdzięcznej akcji bojowej, gdzie łatwo było coś oberwać a trudno doczekać się innej nagrody, jak wdzięczność paru tysięcy Polaków w "kapucyńskich płaszczach" — Brygady Podhalańskiej.

Oficerowie i załogi nie przypominali swoim wyglądem wytwornych marynarzy z defilad i obrazków. Zewnętrznie były to obszarpane i zarośnięte na twarzy dziady, tak samo jak my wszyscy, wewnętrznie za to trudno chyba na całym świecie znaleść równie wspaniałych żołnierzy, dobrych kolegów i gościnnych gospodarzy na swoich zadymionych w walce i zasmolonych okrętach.

Do boju poszła Brygada wspierana ogniem brytyjskich kontrtorpedowców.

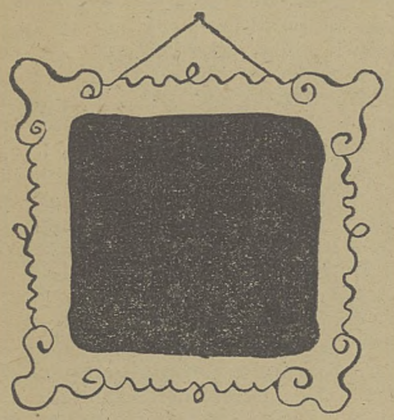
W blasku zwycięstwa wydawało się, że nieraz jeszcze powojujemy wspólnie we fiordach Norwegii. Ale nagle trzeba wracać. I znów pod osłoną marynarki brytyjskiej. Jaka ta opieka była najlepiej świadczy to, iż podróżując przez cztery tygodnie w sumie po niebezpiecznych morzach północnej Europy nie straciliśmy na wodzie ani jednego muła i ani kilograma sprzętu, nie mówiąc już o żołnierzach.

Czesław Jeśman

Rysunek Józefa Natansona

ABC angielsko-polskie

Anglik—patrz: Gentleman.



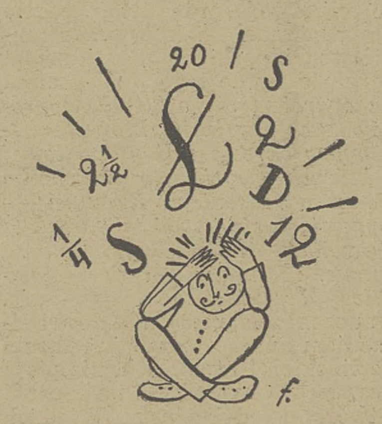
Black-out. Spójrzcie na powyższy piękny widoczek Londynu! Z lewej strony widoczne Opactwo Westminster, z prawej-historyczny Tower, po środku. . . . Coo? . . . Nic nie widzicie po środku? To znaczy, że jest wieczór, a zaciemnienie miasta surowo przez Anglików przestrzegane. Każdy żałuje oczywiście jasno oświetlonych ulic, lecz rozumie konieczność tego przepisu. Zapewne dlatego w dziennikach angielskich dane o "*black-out*" podane są na pierwszej stronie w czarnych nekrologowych obwódkach. . . . "Black" po polsku: czarny, "out"—na zewnątrz. Oba wyrazy zestawione w wolnym wojennym przekładzie tłumaczymy na: "Niech się stanie ciemno!"—Każdy wie, komu życzymy ciemności. A jeśli ktoś zapyta niedyskretnie, dlaczego "*black-out*" zaczyna się co dzień o innej minucie, to ze względu na prawdziwą sympatię zdradzimy naszemu czytelnikowi tę tajemnicę: "zaciemnienie" obowiązuje w pół godziny po zachodzie słońca, a kończy się na pół godziny przed wschodem. Proszę sprawdzić! Chcieliśmy tu podać w skróceniu przepisy, dotyczące owych ciemności egipsko-angielskich, lecz musimy je wykreślić, pomyliliśmy się bowiem w przeliczaniu na kilometry ilości cali angielskich, określających maksymalną odległość, na jaką może sięgać światełko lampki kieszonkowej. Poziomo! Nie wolno świecić ani w górę, ani rzucać blasku na ziemię. Najlepiej zakleić lampkę grubym czarnym papierem. . . . Ale biały jest przez policję dopuszczany. Za nieprzestrzeganie "black-out'u" i niedostateczne maskowanie okien, drzwi i przeróżnych szpar, grożą surowe kary. Łatwo uniknąć wszelkich kolizji z prawem w tym zakresie: w ogóle nie zapalać światła i kłaść się spać z kurami. . . . Nie dla każdego jest to dostępne. . . . Ale o tym pomówimy w naszych rozważaniach o "Kurniku" pod właściwą literą.



Gentleman—Dżentelmen? Toć to wyraz niemal, że polski! Spytałem raz, kogo nazywamy prawdziwym dżentelmenem?—"Takiego pana, brzmiała odpowiedź, który potrafi przejść cały Londyn nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, ani swym ubiorem, ani swym zachowaniem."—Spróbujcie, a zobaczycie, że to wcale niełatwe. Zwłaszcza jeśli wam przyjdzie udać się na dwór królewski. Obecnie określenie to uzupełniłbym takim dodatkiem: prawdziwego dżentelmena poznaje się jeszcze i potym, że mówiąc o innym prawdziwym dżentelmenie, nie nazywa go "gentleman'em." W polskim przekładzie zdanie to brzmi tak: pan porucznik mówiąc o innym panu poruczniku, nie nazywa go panem porucznikiem, pozostawiając tę formę dla niższych. Jak z tego wnioskujemy, omawiany wyraz jest typowo angielski, tak bardzo, że nie można go właściwie tłumaczyć na język polski. Ani na francuski zresztą. Mimo to nie będziemy szukali bliższego określenia "gentleman'a"; każdy podaje inną definicję. Wyczytałem na przykład, że dżentelmena poznaje się po tym, że gdy gra w tenisa nie popisuje się swymi szelkami. Na co ktoś odpowiedział że szelki uchodzą właśnie tylko i wyłącznie dżentelmenowi . . . Strasznie zawiłe zagadnienie! Dżentelmen — to ideał Anglika, ale nam każdy Anglik wydaje się dżentelmenem, bo dżentelmena nie poznaje się tak od razu po—na przykład—sposobie wiązania krawata. Aha! O krawacie pomówimy oddzielnie. Jedno jest pewne: dżentelmen pozostaje sobą zawsze, nawet—w sporze.



Identity card.—Rozumiemy bez słownika: karta identyczności. Znamy dobrze ...tego rodzaju dokument z przedwojennych czasów. Każy z nas musiał nosić przy sobie paszport z fotografią, z opisem wszystkich znaków szczególnych. W Anglii obowiązek posiadania takiego dowodu postanowiony został dopiero dnia 29 września roku 1839. Ktoś mi tłumaczył że posiadanie "*Identity card*" jest naprawdę niezbędne. Na przykład pewien dżentelmen po skromnej (wojennej, tylko ze względu na pragnienie) libacji wraca do domu i, nie pamięta swego adresu. Zwraca się do policjanta z prośbą o wskazówkę. Policjant angielski, słynący z uprzejmości, pyta swego rozmówcy czy nie posiada jakiegoś dokumentu, z którego wynikałaby jego identyczność. Jegomość namyśla się, wreszcie wyciąga z portfelu swą fotografię i pyta: "Czy to nie wystarczy? To fotografia przedstawiająca moją żonę, mego syna i mnie na plaży w roku ubiegłym. . . . "Pobobno w czasie wojny tego rodzaju dokumenty osobiste nie wystarczają. Możemy być jednak dumni: posiadamy takie same karty identyczności, co rodowici Anglicy, tylko litera obok numeru jest inna. Otrzymali wprawdzie "cywile" polscy jeszcze jedną kartę dodatkową: Anglicy będą nam zazdrościli tej szarej książeczki z fotografią, wydanej nam tak szybko! Znacznie szybciej, niż w innych krajach, które poznaliśmy ostatnio.



Waluta—Zdaje mi się, że w samą porę piszemy o monecie angielskiej, którą odmierza się na funty. . . . Funty szterlingi. Zapewniano mnie, że łatwiej o funt miedziaków, niż banknot na przykład 20—funtowy. Zaś kto banknot taki posiada, to nie wymieni go bez trudności. W autobusie niekiedy trudno zmienić nawet banknot jednofuntowy. Wyrecytujmy wyuczoną już przez każdego lekcję: 1 funt szterlingów (w skrócie: "£" lub "l") równa się 20 szylingom ("s" lub "sh"), a jeden szyling równa się 12 pensom. "Jeden penny" pisze się: "1 d." Dlaczego "d"? Na nic wszelkie próby niestosownej domyślności: "d" to skrót od łacińskiego "*denarius*." Każdy z nas już przecie wie, że w angielskim inaczej się pisze, a inaczej wymawia. . . . Pospieszmy jeszcze dodać, że potocznie, na przykład w sklepie lub w autobusie "two pence" wymawia się "tappens." "Pence" to nieregularna liczba mnoga od "penny." Co, nie jasne? Więc jest jeszcze "farthing" równy ćwierć penny. Ale Anglik nie mówi: "półtora penny," lecz: "three half penny," co wymawia się inaczej. Nie zapominajmy, że w obiegu znajdują się monety srebrne, opiewające na "1 florin" co odpowiada 2 szylingom, zaś "half crown" (pół korony) to dwa i pół szylinga czyli 2 szylingi i 6 pensów, co piszemy 2' 6 d lub 2/6. To ostatnie myli, bo pragnąc zużytkować naszą znajomość arytmetyki, czytamy dumnie: "dwie szóste czyli jedna trzecia. . . . Czego jedna trzecia?"—Jest jeszcze jedna moneta angielska: gwinea, odpowiadająca 21 szylingom, czyli nieco więcej, niż funt szterlingów. Gwinea współczesna jest bardzo eteryczna: w ogóle nie istnieje. Operuje się tym pojęciem, chcąc podać elegancko wysokość honorarium. Gwinea więc nie istnieje, ale można ją wydać. . . . Taka to ta angielska waluta której oby mieć jak najwięcej—funtów.



"Thank you"—znaczy: "dziękuję!" Słówko to należy powtarzać w Anglii sobie i innym przy każdej okazji. Sobie? Tak, dla pamięci, że Anglicy są bardzo grzeczni, bardzo zawsze uprzejmi, a dla Polaków teraz szczególniej, że wobec tego należy im jak najczęściej okazywać nie tylko, że umiemy się zdobyć na tę zdawkową, właściwą im grzeczność. Anglik mówi "Thank you" nie tylko wtedy, kiedy grzeczny Polak mówi: "Dziękuję!" ale często również i wtedy, kiedy my mówimy: "Proszę!"; wystarczy wsłuchać się w to, co mówi konduktor wręczający nam bilet, lub kelnerka podająca nam zamówioną herbatę. Nie powiedzieć w Anglii: "Thank you," nie uśmiechnąć się przy tym szczerze, bezpośrednio, serdecznie, to wystawić samemu sobie świadectwo gburowatości. Czy są amatorzy? . . .

Zygmunt Frenkiel

Anglia i Anglicy

ANGLIA PRZESTAŁA BYĆ ZIELONA.—JEDZENIE ZA 9 PENSÓW I POWRÓT DO ŚREDNIOWIECZA.—DWIE KAWALERIE.—ROMANTYCZNA PENSÓWKA.

O mieszkańcach wysp Wielkiej Brytanii i Irlandii i pobliskich archipelagów napisano tyle chyba, co o żadnej innej nacji. Przede wszystkim niebardzo wiadomo, czy Anglicy w ogóle istnieją. Kiedy bowiem Juljusz Cezar zainaugurował serię udanych i nieudanych desantów na wyspy, Anglię zamieszkiwali Brytowie, w Szkocji mieszkali Piktowie, a w Irlandii Szkoci. Irlandczycy też gdzieś mieszkali, bo są bardzo starą rasą, ale niebardzo wiadomo gdzie. Oczywiście razem z legionami rzymskiemi przyjechało trochę prawdziwych Rzymian i Greków, Żydów i innych lewantyńskich panów. Przez parę stuleci był względny spokój. Potem przyjeżdżali Anglowie, Sasi, Normanowie, Plantageneci, znów Irlandczycy, Benjamin Disraeli a ostatnio udało się wylądować w Anglii większej ilości Polaków. I wszystkim najeźdźcom coś się nie podobało. Coprawda i Anglicy, którzy w zdumiewający sposób pozostali Anglikami w wielu wypadkach bardzo byli niezadowoleni z nieproszonych gości.

Ostatnio zapowiedziana wizyta Niemiecka nie wzbudziła w nikim specjalnego zachwytu. Poczyniono wprawdzie odpowiednie przygotowania i tak na przykład znikły, przynajmniej na czas wojny angielskie łąki. Zaorano je i postawiono cały szereg przeszkód betonowych i innych. Zaorano nawet łąkę Runnymede, gdzie siedemset lat temu kudłaci baronowie wymusili swobody i przywileje na niesłusznie oczernianym przez historyków Janie bez Ziemi. W ten sposób znikła "zielona Anglia," nieprzerwanie od Tudorów główny temat zachwytów pejzażystów i biednych brytyjskich urzędników bankowych w Burmie i Brytyjskiej Gujanie, chorujących na malarię i dźwigających na sobie brzemię białego człowieka.

* * *

Łąki angielskie, tam gdzie nie postawiono pułapek, oddano pod uprawę rolną. Lord Woolton minister wyżywienia nawołuje do prostoty w jedzeniu. Twierdzi on, iż za 9 pensów można zjeść zdrowo i dużo. Dla udowodnienia tego odbyło się nawet w hotelu Dorchester, jednym z najlepszych hoteli londyńskich, śniadanie pod przewodnictwem tegoż Lorda Wooltona i przy licznym współudziale t.zw. "sfer miarodajnych," takie właśnie 9 pensowe śniadanie, które pod każdym względem było bardzo udane. Ale zasadniczym warunkiem tego oszczędnego smakoszostwa jest wzmożone spożycie i co za tym idzie wytwarzanie miejscowych produktów rolnych. I tak niepostrzeżenie, przed naszymi oczami, odbywa się przemiana tradycyjnej gospodarki wysp brytyjskich z hodowlanej na rolną.

Łąki angielskie, zielone pola golfowe i trawiaste korty tenisowe mają swoją specjalną historię. Są one do pewnego stopnia symbolem Imperium Brytyjskiego. Kiedy bowiem średniowieczna i wyspiarska Anglia, pod koniec XV wieku pomału zamieniała się w Imperium, właściciele wielkich latyfundiów doszli do wniosku, że hodowla owiec więcej im się opłaca, aniżeli czynsze rolnicze i co raz to nowe obszary zamieniali na pastwiska. Bezpośrednio bardzo bogacili się a pośrednio przyczyniali do rozrostu zamorskich posiadłości. Dzierżawcy ich bowiem nie mieli nic innego do roboty w kraju i emigrowali do Nowej Fundlandii, na Barbados, do północnej Ameryki i po całym świecie. Były oczywiście i inne powody rozrostu kolonjalnego ale co raz bardziej zieleniejące wzgórza Anglii mają swoją część w tej historii. I w obliczu nowej wojny znów się nawraca na wyspach do średniowiecznych metod. Znów jak za "dwóch róż" w sercu Londynu będzie dojrzewać zboże i będą się zielenić głąby kapusty.

* * *

Już się powiedziało że Anglikom nie podobają się na ogół cudzoziemcy. Słowo "alien" będące ich oznaczeniem ma charakter zdecydowanie ujemny, tak np. psychiatra po angielsku nazywa się "alienist." Ale czasami coś Anglikom o tyle spodoba się u "alienów," że wprowadzają to u siebie. W Hiszpanii wojska Wellingtona bijały się przez dobrych kilka lat z ułanami Legii Nadwiślańskiej. Pod Tudelą i Talaverą widocznie zaimponowali oni angielskim "czerwonym kaftanom," bo już w roku 1818 pojawiły się w armii brytyjskiej pułki ułanów: 9-tyKrólewski Pułk Lansjerów Królowej, 12 Lansjerów Królewskich, Księcia Walii i 5-ty, 16-ty, 17-ty i 21-szy Lansjerów. Zarówno stroje, jak zastosowanie taktyczne tych pułków zostało przejęte z armii polskiej. Dziś ułani chodzą w angielskich "battle dress" i tak po 120 latach towarzysze broni obu narodów znów są jednakowo ubrani.

Zresztą i tradycje ułańskich pułków angielskich i polskich są bardzo podobne. Szwoleżerowie mają Sommo-Sierrę, ułani Rarańczę a 17 pułk Lansjerów t. zw. "konna marynarka" równie wariacką szarżę pod Bałakławą w czasie wojny krymskiej, kiedy to Lekka Brygada kawalerii angielskiej przejechała się po bateriach rosyjskich. W czasie bywszej wojny europejskiej pod Mons ciż sami biali lansjerzy, wymazani dla niepoznaki flandryjskim błotem i w mundurach koloru ochronnego dokonywali przewag całkiem kawaleryjskich i rozpędzili olbrzymie ilości Niemców.

* * *

Cudzoziemcom bardzo nie podobają się ciężkie i nieporęczne miedziane pensówki—i znów brak znajomości historii. Bo z tą pensówką jest związana zabawna anegdota, o tyle zabawna, że dla jej upamiętnienia warto nosić w kieszeni ciężką miedź. Otóż król Karol II-gi Stuart miał przezwisko "wesołego monarchy." Całkiem zasłużone, bo figle królewskie i jego romantyczne usposobienie były i są częścią historji angielskiej. Jedną z jego faworyt była pewna dama, wielkich zalet ciała i ducha, a poza tym księżna. Król bardzo chciał ją jakoś uświetnić, ale bał się skandalu domowego i na mieście. Właśnie wówczas ustalano rysunek dla pensowej monety, za którą, nawiasem mówiąc, można było więcej kupić, niż dzisiaj za szylinga. Dwór obfitował w ludzi pomysłowych i po paru miesiącach na pensówce ukazała się majestatyczna Brytania z trójzębem, tarczą i chlamidą. Poddani królewscy byli zadowoleni z pięknej monety, osoby zainteresowane też a królowa o niczym nie dowiedziała się. Dziś płacąc miedziane półtora pensa w autobusie nieświadomie kontynuujemy tradycję królewskich amorów. Spiż bowiem, jak mawiał Horacy, jest pewnym wehikułem do nieśmiertelności.

Anna Grey

Przegląd polityczny

Kilka lat temu widziałem w siedzibie rzymskiego "Fascio" mapę, na której zakreślono obszary, wchodzące w skład tak zwanej "irredenty." Była tam naturalnie "isola perta," stracona wyspa, Korsyka—i Dalmacja ze Splitem oraz Dubrownikiem. Do innych krajów nie zgłaszano wówczas pretensyj. Lecz apetyt przychodzi w miarę jedzenia. I tak n.p. "Free Europe" zamieszcza mapę pretensyj włoskich, *gdzie jako ziemie, które muszą "powrócić" do państwa nowego Cezara oznacza się kolorem Italii i Krainę z Lublianą i dużą część Kroacji z Zagrzebiem i południową Macedonię i wreszcie całą Grecję.* Inne kraje bałkańskie poszatkowane są kreseczkami rozmaitych wpływów, do tego stopnia, że trudno się zorientować, gdzie kończą się wpływy włoskie a zaczynają niemieckie i kropkowane strefy działań sowieckich. W każdym razie Bałkan przerzynają trzy wielkie krechy, idące z niemieckiego Wiednia: *jedna przez Belgrad do Salonik, druga przez Sofię do Konstantynopola, trzecia przez Budapeszt i Bukareszt do Constanzy nad Morzem Czarnym.* Są to święte korytarze Trzeciej Rzeszy, wielkie szlaki, wiodące na Morze Śródziemne, na Bliski Wschód i do naftonośnych terenów Rumunii.

Jak będzie się przedstawiało urzeczywistnienie tych ambitnych planów—nie wiadomo. Natomiast jedno jest pewne. Na Bałkanach panuje dzisiaj taki bałagan, że wszelkie próby nakreślenia jakiej takiej linii trwalszej polityki poszczególnych państw na półwyspie—są z góry na niepowodzenie skazanym wysiłkiem. W Belgradzie, Bukareszcie i Sofii powstają co raz to nowe pomysły polityczne, odżywają dawne przeciwieństwa, rodzą się zawiści i nienawiści, których wyładowanie grozi powrotem do dawnego okresu chronicznych wojen i zamieszek.

Jest to bardzo ciekawy objaw, wiążący się ściśle z rolą Niemiec w Europie. Przed wojną w roku 1914 półwysep bałkański był tym przysłowiowym kotłem, z którego miał się rozlać ukrop katastrofy na cały świat. Po wojnie Bałkany przedstawiały o wiele spokojniejszy i piękniejszy obraz współpracy ludów, od np. Europy Środkowej. Stworzono tak zwany blok bałkański, usunięto zarzewia nieporozumień, dążono do podporządkowania wszystkich zainteresowanych państw wspólnemu interesowi ludów, zamieszkujących półwysep. A teraz znowu mamy tam zupełny chaos. Gdzie leży przyczyna tych "wrzeń bałkańskich"?

Odpowiedź prosta. Przed rokiem 1914, w sprawy serbskie, bułgarskie greckie i tureckie *mieszali się ustawicznie Niemcy,* i to tak skutecznie, że z tego tygla najsprzeczniejszych interesów wyszła w rezultacie—wojna światowa. Po roku 1918, Niemcy zajęły się Europą Środkową, podjudzając wzajemnie Czechów, Polaków, Węgrów, Rusinów i td. Doprowadzono znowu do wojny, ale w latach, które ją poprzedziły, Bałkan, pozbawiony opieki niemieckiej był najzupełniej spokojny. Kiedy po klęsce Polski i Francji, wzięto się w Berlinie do porządkowania stosunków w południowo-wschodniej części Europy jesteśmy świadkami powrotu o wiele gorszych stosunków, aniżeli przed rokiem 1914.

Wniosek, wypływający z równania Bałkanów pod berliński strychulec—jest prosty. Są narody, które mają wybitne zdolności tworzenia nowych państw. Matką nowych, spokojnie i szczęśliwie rozwijających się społeczeństw, była np. Anglia. *Natomiast tych państwotwórczych zdolności nie posiadają w najmniejszej mierze Niemcy.* Każde przez nich organizowane państwo, staje się prędzej czy później kryminałem. Źródło braku tych prawdziwie twórczych czynników w organizacji życia leży w samej Rzeszy. Nic dziwnego. Najpopularniejszą grą dziecinną jest w Niemczech zabawa w zbójów i żandarmów. I te zamiłowania, podnoszone do rzędu haseł władztwa nad światem, znajdują swój wyraz i w dziedzinie organizacji życia społecznego.

O ile chodzi o najbardziej krańcowe zmiany orientacyj bałkańskich to mamy je przede wszystkim w Rumunii. Wspominaliśmy, że król Karol czynił rozpaczliwe wysiłki, aby ratować się przed Stalinem przymierzem z Hitlerem. Tymczasem Niemcy postawiły w Salzburgu takie warunki, że Rumunii nię pozostaje nic innego, jak tylko wzdychać do dawnych, dobrych czasów współpracy z demokracjami zachodnio-europejskimi. I co ciekawsze, nie tylko partie umiarkowane, jak np. stronnictwo chłopskie Maniu i grupa Jorgi doszły do tego przekonania. *Za oparciem się o "tych wypróbowanych przyjaciół, których mieliśmy w okresie wojny światowej i których zwycięstwo utożsamiło się z odrodzeniem Rumunii"—wypowiada się nawet tz. "Żelazna Gwardia," najbardziej totalistyczne, rasitowskie i faszystowskie stronnictwo rumuńskie.* Nauczeni smutnym doświadczeniem nie głoszą już haseł berlińskich i rzymskich, nie pieją dawnych hymnów na cześć "twórczej dyktatury Wielkich Wodzów." Co więcej. Oglądają się za drogą do zachednio-europejskiej Kanossy. Lecz Anglia i Stany Zjednoczone dalekonatomiast Niemcy i Rosja co raz bliżej. A sama polityka Bukaresztu, zależnie od biegu wypadków, zmienia się dosłownie z dnia na dzień.

Bułgaria zgłasza pretensje do wschodniej Macedonii. Chodzi o dostęp do Morza Egejskiego. Niepokoi to Rzym, gdzie obawiają się, aby naciskająca co raz to bardziej na Rumunię Rosja nie skierowała swych dążeń w stronę Sofii i nie usadowiła się na Morzu Śródziemnym. Stąd nowe intrygi i nowe kombinacje zarówno w Bukareszcie, jak i w Budapeszcie.

Powstał podobno projekt oddania Sowietom węgierskiej Rusi Przykarpackiej wzamian za rezygnację z planów bałkańskich. Państwa i narody kraje się jak kawał sukna. A całkowita anarchia w życiu państw środkowo i wschodnio-europejskich potęguje się z tygodnia na tydzień.

Na Dalekim Wschodzie spokojniej. Anglia uderzyła bardzo silnie, przeprowadzając aresztowania obywateli japońskich, jako odpowiedź na uwięzienie poddanych Brytanii—ale jednocześnie wycofała swe wojska z Szanghaju i Południowych Chin. Podobno krok ten miał wywołać w Tokio "najlepsze wrażenie." Tym lepiej.

Ze Stanów Zjednoczonych ciekawe nowalie. Niemcy, obywatele Trzeciej Rzeszy, opuszczają m a s o w o Północną Amerykę. Podobno na skutek przyjacielskich porad swoich konsulatów. Poza tym w Nowym Jorku rozpoczęto budowę schronów przeciwlotniczych. Stany Zjednoczone mają być w "przededniu rozstrzygającej decyzji." W interesie zarówno Ameryki, jak i całego cywilizowanego świata, w interesie prawdziwej kultury ludzkiej należy sobie życzyć aby ta decyzja zapadła jak najszybciej. *tk.*

PRENUMERATA
"POLSKI WALCZĄCEJ"

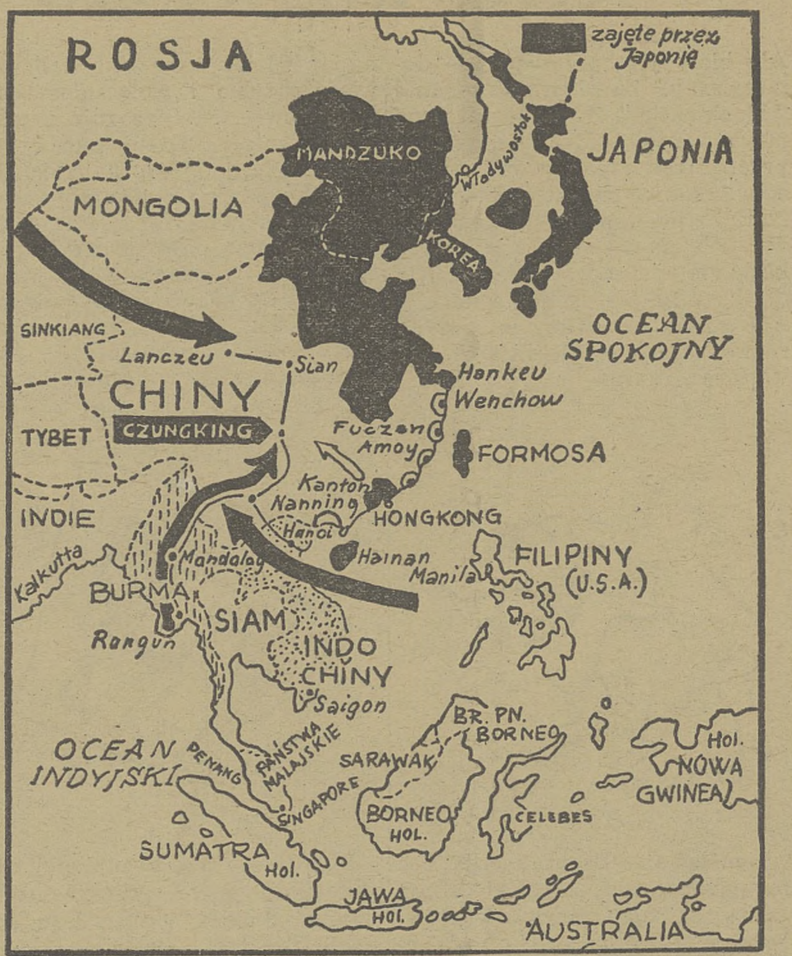
Na liczne zapytania odpowiadamy, że prenumeratę (miesięczną lub kwartalną) można załatwiać za pośrednictwem:

a/oddziałów f-my W. H. Smith and Son.

b/innych kiosków gazetowych z powołaniem się na Continental Publishers, Ltd., 34, Maiden Lane, London, W.C.2, jako źródło dostawy.

W ten sposób czytelnicy będą mogli w większości wypadków zaoszczędzić na przesyłce pocztowej, która w Anglii wynosi pensa od numeru.

Ten trzeci...



Wiadomości z Tokio były "*front page news*"—najważniejszymi wiadomościami w dwu ubiegłych tygodniach. Depesze o aresztowaniach Anglików w Japonii miały pierwszeństwo nawet przed depeszami o bojach w powietrzu. A wiadomościom o aresztowaniu Japończykow w Anglii i w innych częściach Imperium równie wiele miejsca poświęcano.

Oznacza to, że kolejny kryzys stosunków anglo-japońskich dochodzi znowu do punktu kulminacyjnego. Mówię kolejny kryzys, albowiem kryzysów tych w ciągu ostatnich trzech lat było już wiele.

Tłem tych wszystkich kryzysów była oczywiście wojna chińsko-japońska. Wojnę tę Japończycy rozpoczęli jako ekspedycję kolonialną. I początkowo osiągnęli sukcesy na pozór olbrzymie. W rekordowym wprost czasie padły Szanghaj i Pekin, wkrótce potem i Nankin, stolica rządu chińskiego. Po roku wojny padł Kanton, padła nowa stolica Chin-Hankeou. To znaczy, że wszystkie porty chińskie, wszystkie ośrodki przemysłowe, handlowe i administracyjne Chin, największe spławne rzeki chińskie znalazły się w ręku Japończyków. Teoretycznie wojna z Chinami była wygrana.

Ale uparci Chińczycy nie chcieli się zgodzić na to, że wojnę przegrali. Armie chińskie nie dawały się otoczyć i cofały się w głąb niezmierzonego kraju, zabierając z sobą nie tylko broń i wszystkie urządzenia fabryczne, ale nawet szyny kolejowe, które cierpliwi chłopi chińscy dźwigali na własnych plecach. W głębi Chin powstawały nowe fabryki broni i amunicji. Co roku Czang Kaj Szek szkolił nowe dwa miliony żołnierzy. I od roku blisko posuwanie się na przód Japończyków zostało powstrzymane. Mało tego, chińskie wojska zaczęły odnosić zwycięstwa w bitwach. Okupacja zaś Chin okazywała się co raz bardziej iluzoryczna. Prawda, Japończycy mieli swe załogi w wielkich miastach. Ale załogi te nie mogły wysuwać nosa poza miasta bez narażenia się na wycięcie w pień. Wsią chińską bowiem, nawet w terenach okupowanych, rządzili wysłannicy Czang Kaj Szeka, teren miała w ręku zorganizawana partyzantka. Wojna chińska kosztowała już Japonię setki tysięcy zabitych, miliardy yenów, a koniec jej jest, równie daleki, jak pierwszego dnia.

Lud japoński pragnął i pragnie końca wojny. Dla kasty wojskowej jednak wycofanie się z Chin oznaczało by "utratę twarzy," oznaczało by więcej jeszcze, bo utratę górującego stanowiska w kraju. Złamanie oporu chińskiego za wszelką cenę było jej jedynym hasłem. O zdobyciu militarnym Chin przestali mysleć. Poszli więc dwiema innymi drogami. Stworzyli nowy "centralny rząd chiński." Chiński Hacha, który stanął na czele tego rządu nazywa sie Wang Czing Wej. Jest to ambitny polityk. Był już w swym życiu i przywódcą lewego antyjapońskiego skrzydła Kuomingtangu, które zarzucało Czang Kaj Szekowi paktowanie z Japończykami, i komunistą, bywał i proangielski i antyangielski, przez dwa lata wojny był zastępcą Czang Kaj Szeka, a właściwie ma tylko jedno przekonanie: rządzić W Chinach musi Wang Czing Wej. Ta nominacja spaliła na panewce. Chiny, lud chiński, Wang Czing Weja nie uznały.

Drugą drogą mającą prowadzić do zgnębienia Chin, było odcięcie wszelkiego dowozu broni i amunicji. Broń ta do Chin szła trzema szlakami. Część jej szła przez Rosję sowiecką. I jeżeli dzisiaj się czyta o próbach porozumienia rosyjsko-japońskiego, to trzeba mysleć przede wszystkim o sprawie broni dla Chin. Część broni szła z Indo-Chin przez kolej Yunnańską. Przeciwko Francji Japonia od razu zastosowała system gróźb. I już z początkiem wojny europejskiej droga ta została dla Chin zamknięta. Dzisiaj zaś, korzystając z bezsiły rządu Pétaina Japonia stawia nowe żądania, zmierzające wprost do rządzenia się w Indochinach. Ostatni szlak wreszcie stanowiła droga automobilowa-zbudowana przez Chińczyków już podczas wojny z niesłychanym nakładem sił a prowadząca do Birmanii-protektoratu angielskiego.

O zamknięcie tej drogi toczyła się stała dyplomatyczna walka. Szykany w Tientsinie, w Szanghaju skierowane przeciw Anglikom miały na celu przede wszystkim zablokowanie tej drogi. Dotychczas jednak Wielka Brytania, ustępując Japończykom w innych punktach drogę birmańską trzymała wciąż otwartą.

Sytuacja zmieniła się dopiero po upadku Francji. Wkrótce potem świat się dowiedział, że pomiędzy Wielką Brytanią i Japonią nastąpiło porozumienie, mocą którego droga birmańska została zamknięta dla przewozu broni i materiałów wojennych. Japonii udało się dowieść prawdy przysłowia: "Gdzie ię dwu bije, tam trzeci korzysta."

Decyzja ta spotkała się z niezwykle ostrą krytyką wielu kół brytyjskich. Zarzucano Churchillowi, że ulegając szantażowi japońskiemu, popełnił kardynalny błąd, a to ze względów następujących:

a) zamknięcie drogi birmańskiej jest w istocie rzeczy pomocą okazaną Japończykom. Tym sposobem Wielka Brytania, która walczy o swobodę w Europie, jednocześnie w Azji pomaga napastnikowi, pomaga Japonii w podbiciu narodu chińskiego;

b) decyzja rządu brytyjskiego wywarła fatalne wrażenie w Ameryce, gdzie antyjapońskie nastawienie jest równie mocne, jak antyhitlerowskie, dała w Stanach broń w rekę tym, którzy sprzeciwiają się udzieleniu pomocy Anglii,

c) decyzja ta utrudniła stosunki z Rosją Sowiecką, która dotychczas oficjalnie popiera Czang Kaj Szeka;

d) ustępstwo zrobione Japonii jest bezcelowe. Japonia bowiem, zdaniem tych krytyków, wcale nie jest "tym trzecim," gra jej jest podobna do początkowej gry Mussoliniego. Jest ona już dziś w ścisłym przymierzu z Niemcami. Groźby jej mają na celu unieruchomienie części sił brytyjskich i jedynie zyskanie dogodniejszych pozycji strategicznych, po czym we właściwym momencie Japonia i tak uderzy. Wszak to, że się przez pierwsze miesiące wojny próbowało ugłaskać Mussoliniego, nie tylko pozwoliło mu własne uzbrojenie przeprowadzić do końca, ale także wzmocniło Hitlera, albowiem przez Włochy właśnie szereg transportów szedł do Niemiec.

Obrońcy Churchilla nie zaprzeczali tym faktom. Twierdzili oni jednak, że Churchill musiał w tym wypadku ustąpić, przede wszystkim dlatego, że z upadkiem Francji i odpadnięciem floty francuskiej było by ryzykowne tak wzmocnić flotę na Pacyfiku, by móc skutecznie odeprzeć napaść japońską. Co zaś do Stanów Zjednoczonych to wskazywano na to, że Stany nie tylko nie gwarantowały poparcia w razie konfliktu angielsko-japońskiego, ale same pomagały Japonii. Cały bowiem prawie złom żelazny i całą naftę, której Japonia potrzebowała dla wojny, otrzymywała ze Stanów. Tak, że na oburzenie amerykańskie można śmiało było odpowiedzieć: "Kocioł garnkowi przyganiał"—

Wkrótce jednak okazało się, że w jednym punkcie krytycy mieli rację. Ustępstwo Wielkiej Brytanii w sprawie drogi birmańskiej w niczym nie poprawiło stosunków anglo-japońskich, w niczym nie ulżyło sytuacji. Wręcz przeciwnie. Rząd admirała Abe, który podpisał umowę upadł natychmiast i do władzy doszedł książe Konoye z programem zacieśnienia więzów z Niemcami. W oficjalnych oświadczeniach Anglię nazywano wrogim mocarstwem. Program oficjalny nowego rządu obejmował już jako sferę wpływów japońskich nie tylko Chiny, ale morza południowe, to znaczy kolonie holenderskie, a może i Australię, której stanowisko było decydujące w sprawie ustępstwa co do drogi birmańskiej. Ajent Gestapo, który oddawna siedział w japońskim ministerium spraw wewnętrznych zaczął odgrywać co raz bardziej decydującą rolę. I przyszły aresztowania. Stało się oczywiste, że Japończycy uznali ustępstwo angielskie, za dowód słabości i że postanowili natychmiast rozszerzyć swe żądania.

Rachunek ten jednak okazał się fałszywy. Wielka Brytania zareagowała energicznie. Jednocześnie zaś Stany Zjednoczone wystąpiły czynnie. Prezydent Roosevelt zakazał eksportu złomu żelaznego i nafty. Prawda, że zakaz ten oficjalnie obejmuje wszystkie państwa, nawet i Anglię, ale uderza on jedynie w Japonię, Anglia bowiem naftę importuje nie z Ameryki, ale z Iraku, Iranu i Indii Holenderskich, Japonia zaś skazana jest jedynie na dostawy amerykańskie.

Jak konflikt rozwinie się dalej? Czy Japonia wycofa się z powrotem, czy też zechce doprowadzić go w tej chwili do końca? Niepodobna na to odpowiedzieć. Jasne jednak już jest dzisiaj dla wszystkich, że gra japońska jest ściśle skoordynowana z grą Berlina i Moskwy. A z tego nie mogą nie wyniknąć konsekwencje. *XXX*

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clement's Press, Portugal St., Strand, W.C.2.